MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 37. WARSZAWA, 8 WRZEŚNIA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

SZCZEROŚĆ A POLITYKA

SZCZEROŚĆ rzadko chodzi w parze z polityką. Raczej przeciwnie. Talleyrand mawiał, że słowa służą politykowi dla ukrycia jego myśli. W mowie potocznej „polityka", politykowanie jest równoznaczne z unikaniem prawdy. Mamy wprawdzie dość świeże tradycje wystąpień politycznych, nacechowanych szczerością, nie budzą one jednak ani uznania ani zachęcają do naśladownictwa. Szczere było niewątpliwie wystąpienie kanclerza Bethmann-Hollwega na posiedzeniu Reichstagu w dniu 4 sierpnia 1914 r., kiedy, mówiąc o pogwałceniu neutralności belgijskiej, przyznał, że jest to krzywda, obiecywał, że Niemcy postarają się naprawić tę krzywdę, jak tylko sytuacja wojskowa pozwoli. Narazie zaś z niezrównaną szczerością postawił zasadę, że „potrzeba nie zna żadnych przykazań"...

Jednakowoż doświadczenie lat późniejszych nauczyło Niemcy, że nie można załatwiać rzeczy prosto z mostu, że trzeba swoje apetyty obwijać przynajmniej w bawełnę nie obowiązujących frazesów, trzeba, — jak mówił mistrz tej sztuki w czasach najnowszych Gustaw Streseman,—*finassieren*...

Tegoż zdania byli i jego dużo mniej subtelni następcy. Minister Goering, pisząc w dniu 29-ym stycznia ubiegłego roku o pogwałceniu neutralności Belgji, użył na łamach „*Morning Post*" (zamiast bethmanowskiego szczerego z przed lat dwudziestu) nowego, co prawda, nieco nieoczekiwanego określenia:

„Była to samoobrona najbardziej uprawniona, samoobrona w najszlachetniejszem znaczeniu tego słowa..."

Więc nie „krzywda", nie skutek nieposzanowania „przykazań", kiedy zachodzi „potrzeba", nie potraktowanie międzynarodowych traktatów jako „świstka papieru", lecz właśnie uprawniona samoobrona. Tak nakazuje nowoczesna, dostosowana do obecnych potrzeb i poziomu etycznego „rasizmu" sztuka polityki.

Szef rządu włoskiego zerwał stanowczo z tą tradycją. Niezliczonym już dziś prasowym i wiecowym wystąpieniom Duce można zarzucić wszystko obrócz braku szczerości. Jego ujęcie konfliktu z Abissynją, powtarzane przez prasę włoską na różne sposoby, jest proste i jasne. Sformułował je sam Mussolini, formułowały pisma faszystowskie. Oto próbka takiego sformułowania, umieszczona w półurzędowem wydawnictwie włoskiem „*Affari Esteri*" w numerze 32 w rubryce „Dokumentów", stanowiąca wyjątek z artykułu „*Popolo d'Italia*" z dn. 31 lipca r. b.

„Jakie są owe argumenty istotne, bezwzględnie bezsporne, i wyłączające wszelką możność polemiki? Jest ich dwa: potrzeby żywotne narodu włoskiego i jego bezpieczeństwo wojskowe w Afryce Wschodniej... Rozwiązanie tych zagadnień musi być całkowite (*totalitario*).

„O tem, jakie mają być granice tego bezpieczeństwa militarnego sama tylko Italja może być jedynym sędzią".

A barbarzyństwo Abisynji, panujące w niej niewolnictwo?

Italja czyni przygotowania wojenne w swych kolonjach Afryki Północnej nie poto, ażeby zwalczać w Abisynji handel niewolnikami... Nie jest naszym celem również cywilizacja w jej podwójnym charakterze moralnym i materjalnym".

A może chodzi tu o zapewnienie rasie białej jej „miejsca pod słońcem?"

„My faszyści uznajemy istnienie różnic rasowych, jesteśmy zwolennikami hierarchji ras, lecz nie mamy bynajmniej ochoty występować w roli bojowników rasy białej, w przeciwieństwie do innych ras"...

Więc ani interes cywilizacji, ani obrona praw rasy białej, poprostu interes Italji, bezpieczeństwo jej kolonij.

Szczerość tak wielka, tak niepraktykowana w okresie subtelności politycznych, przekazanych przez Gustawa Stresemana jego następcom, że na-

prawdę zasługuje conajmniej na szczerość,—zwłaszcza ze strony tych, co tradycyjnie, historycznie i duchowo są zwolennikami cywilizacji rzymskiej i czcicielami niezmiennymi ojczyzny Dantego i Petrarki.

— — — — — — — — — — — —

Po klęsce pod Aduą w roku 1896 Italja przez czas jakiś zrezygnowała z polityki czynnej wobec Abisynji. Zapłacono Abisynji czterysta tysięcy funtów kontrybucji i pogodzono się ze stanem rzeczy, jaki się wytworzył w Afryce Wschodniej. W roku 1923 „barbarzyństwo" Abisynji — które wówczas z pewnością nie było mniejsze niż w chwili obecnej, — nie powstrzymało delegatów włoskich w Genewie od głosowania na rzecz przyjęcia kraju Negusa do Ligi Narodów.

W roku 1924 obecny Negus, ówczesny regent państwa „króla królów" gościnnie, pomimo swego barbarzyństwa jest przyjmowany w Rzymie. Rewizytuje go niezwłocznie książe krwi, nie mniej entuzjastycznie witany w Addis Abeba. To odprężenie daje owoce: w roku 1928 Italja zawiera traktat pokoju, przyjaźni i arbitrażu z krajem Negusa, który przy tej sposobności otrzymuje najwyższe we Włoszech odznaczenie, nadawane tylko głowom koronowanym order św. Annunziaty, i „barbarzyństwo" Negusa nie przeszkodziło mu stać się przez to „krewnym króla Italji".

‚Ale, (czytamy dalej w tym samym artykule *„Popolo d'Italia"*, traktowanym jako dokument do sprawy przez *„Affari Esteri"*), niezwłocznie po zawarciu tego traktatu i pod jego osłoną Abisynja przystępuje do reorganizacji swej armji. I komuż powierza reorganizację? Może oficerom tej samej Italji, z którą zawarła traktat przyjaźni? Całkiem przeciwnie. Na czele reorganizacji staje generał szwedzki, oficerami są Belgowie. Całe nastawienie przygotowań ma charakter antywłoski. W r. 1931 powszechna mobilizacja zgromadza w prowincji Ogaden na samej granicy kolonji włoskiej dziesiątki tysięcy Abisyńczyków, To samo stało się w r. 1911, a także podczas Wojny Światowej".

Jeżeli tak było w czasie Wielkiej Wojny, kiedy Italja była tak zaangażowana na froncie austjackim i nie mogła -poświęcić większych sił na obronę swych kolonij afrykańskich, to z tego jasny wniosek, że Abisynja nie miała w stosunku do Włoch zamiarów wojowniczych.

Inaczej rozumuje *„Popolo d'Italia"*:

„Jest to sprawa oczywista, że sytuacja strategiczna naszych kolonij, niepewna w czasach normalnych, stałaby się nie do utrzymania w czasach wyjątkowych, kiedy Italja byłaby zaangażowana na odcinku europejskim".

— — — — — — — — — — — —

Mistrz polityki włoskiej, którego tak chętnie cytuje Duce, radzi zwierzchnikom państw, ażeby wzorowali się na sile lwa i przebiegłości lisa, ażeby nie robili sobie wielkiej ceremonji z wykonaniem swych zobowiązań, bo inaczej sami będą oszukani przez innych. Radzi jednak ukrywać starannie te cechy, „umieć ukrywać i udawać".

„Głowa państwa powinien pilnie baczyć na to, ażeby z ust jego nie wyszło nic takiego, co byłoby sprzeczne z pięciu cnotami. Powinien on zawsze wydawać się pełen dobrej wiary, czystości, ludzkości i religijności".

Nikt chyba w Europie nie zna tak dobrze tych tekstów jak Mussolini, dlaczego więc wkłada tyle energji w to, ażeby zrobić wrażenie „lwa" nie „lisa", i podkreśla swoje nie liczenie się z cnotami, głoszonemi przez Machiawela,

Profesor Salvemini na łamach ostatniego *„Saturday Review"* usiłuje dać na to odpowiedź, Przypomina on dwie daty w karjerze Duce: 25 Październik 1924 roku i 10 Listopada 1934.

Przed laty jedenastu, mówiąc o przyszłości faszyzmu i jego znaczeniu dla Italji, rzucił Duce obietnicę, — wiążącą:

„Jeżeli tylko przez jakie pięć lub dziesięć lat dadzą nam możność działania, po upływie tych lat Italja będzie zamożna, bogata i zadowolona".

A już po upływie tych dziesięciu lat doszedł do wniosku, że „na świecie nie bywa cudów".

Mówiąc zaś w dniu 22 lipca 1925 roku o rządach ograniczających wolność obywateli sam Mussolini przyznał, że „stronnictwo, żądające ograniczenia wolności obywatelskiej, musi zapewnić krajowi swemu wielkość".

Tak było za rządów Napoleona I, tak było z rządami Bismarcka i Cavoura: ograniczali wolność osobistą i za cenę tej ofiary obywatele zdobywali wielkość swej ojczyzny. Panowanie Francji nad połową Europy za czasów Napoleona, zjednoczenie Rzeszy za Bismarcka, niepodległość Italji za Cavoura.

Profesor Salvemini twierdzi, że sam Duce dostrzega już pewną lukę w roli faszyzmu i dla jej zapełnienia sięga po laury — zamorskie.

— — — — — — — — — — — —

Rządy monopartyjne. Mamy już całą literaturę w tej tak drażliwej materji. Szereg państw o różnej kulturze i budowie przerabia dziś ten eksperyment. Jedno już jest widoczne. Rządy jednopartyjne, pozbawione wszelkiego sprawdzianu krytyki swobodnej, wszelkiego hamulca kontroli czy to parlamentarnej, czy jakiej innej, w sposób nieubłagany ulegają pewnym konsekwencjom, które się daje w różnych formach stwierdzić we wszystkich trzech ustrojach monopartyjnych. Taka już jest natura ludzka, że pozbawiona w życiu ludzkiem hamulców i kontroli dochodzi do s a m o w o l i. Ta samowola, niczem nie krępowana przyjmuje nieco odmienne formy w Niemczech niż w Moskwie, lecz w istocie swojej jest bardzo zbliżona i sprowadza się do tego, że człowiek i jego partja stara się postawić swoją wolę, swoje poglądy z początku ponad wszelkiem dobrem ludzkiem a potem sięga po panowanie nad temi dobrami, które nie są pozostawione do swobodnego uznania człowieka, lecz stanowią najwyższy a nietykalny skarb całej ludzkości. Tak jest w Sowietach od lat piętnastu, tak jest w państwie Hitlera od lat dwu. A kiedy człowiek zorganizowany w jednej wyłącznej partji złamie wszelkie hamulce woli innej, nawet najbardziej zasługującej na uszanowanie wewnątrz kraju, ta jego tryumfująca samowola nie znajduje żadnych przeszkód i sięga po za granice kraju, usiłując złamać wolę innego narodu tak jak się łamało wolę własnych obywateli. Kto nie szanował praw własnych rodaków, ten mniej jeszcze jest zdolny zrozumieć i uszanować prawa innych narodów.

Na dyktatury personalne, na dyktatury partyjne czyha niebezpieczeństwo choroby, której na imię: m a n j a w i e l k o ś c i. Towarzyszy jej lub nawet poprzedza ją m a n j a p r z e ś l a d o w c z a. Chory jest, co prawda, niebezpieczny dla otoczenia, lecz przebieg choroby bywa najczęściej bardzo poważny dla pacjenta.

— — — — — — — — — — — —

Przed rokiem jeden z twórców ideologji faszystowskiej Fracesco Coppola na łamach naczel-

nego wydawnictwa, które jest jakby najważniejszą retortą idei faszystowskiej—rzymskiego miesięcznika *„Politica“* ostrzegał Europę przed niebezpieczeństwem, grożącem jej ze strony świata kolorowego. Autor wzywał narody do wyrzeczenia się drobnostkowych celów i zorganizowania Europy tak, aby była bardziej odporna w przyszłej, nieuniknionej walce przeciwko światu kolorowemu. Środki, proponowane wówczas przez autora, zasługują na specjalne omówienie i nie będę ich poruszał na tem miejscu. Cóż się jednak stało z samem założeniem w świetle „szczerości“ polityki włoskiej w stosunku do Abisynji? Świat kolorowy poruszony jest na wszystkich kontynentach a świat europejski, świat rasy białej jest bardziej pokłócony niż kiedykolwiek bądź.

Jeśli kto w Europie zaciera ręce w milczeniu, — ażeby nie spłoszyć nieostrożnem poruszeniem narzucającego się sukcesu, to są tylko ci, którzy zawczasu starannie gromadzą argumenty włoskie pod adresem Abisynji na użytek własny, dla zastosowania w granicach Europy. Jak będzie wyglądała ta Europa,—zdaniem Coppoli, już dziś pokłócona i niezdolna do walki ze światem kolorowym,—jeżeli państwa zainteresowane zaczną regulowanie spraw spornych od postanowienia zasady, że same tylko potrzeby narodu dyktują mu jego postępowanie w stosunku do innych, że o formach i zakresie jego bezpieczeństwa w stosunkach z innymi on sam tylko decyduje...

Z najwyższego w Europie miejsca padły już pełne umiaru, lecz i stanowczości słowa: p o t r z e b a n i e j e s t j e s z c z e p r a w e m, l e c z t y l k o f a k t e m. Świat, któryby chciał o tem zapomnieć, stał by się dżunglą, gdzie dla słabszego nie byłoby miejsca a silniejszy musiałby niszczyć innych bez przerwy w obawie odwetu, lub dla uprzedzenia nieoczekiwanej napaści.

Instynkt narodów politycznie wyrobionych a nie posiadających w Europie zorganizowanej przewagi, już obudził ich czujność wobec proklamowania zasady uniemożliwiającej współżycie pokojowe. Szwecja jest dziś swemi sympatjami bynajmniej nie po stronie Włoch. Nie inaczej jest w innych państwach, gdzie zrozumiano konsekwencje „szczerości“ włoskiej.

A nie jest dobrze mieć świat, — nawet świat neutralny, przeciwko sobie, nie tylko nie jest dobrze pod względem moralnym, lecz i materjalnym.

— — — — — — — — — — — —

Szczerość tak wyjątkowa w sprawach tak bardzo drażliwych jak stosunek pomiędzy dwoma państwami, jak pogląd na załatwianie spraw spornych, nawet wówczas, kiedy zachodzi różnica hierarchji rasowej, zasługuje na uwagę w Polsce i stąd też powinny przyjść wyrazy równie szczerej oceny.

S. Z.

Z DZIEJÓW POWIEŚCI WARSZAWSKIEJ IV

NARCYZA ŻMICHOWSKA

Organizacja duchowa autorki „Poganki". — Zamęczona młodość guwernantki. — Ciekawość do cudzej miłości. — Realizm szukający pierwowzorów w sobie i za sobą. — Czy prawda, że Benjamin to ona? — Czy prawda, że Aspazja — to Zbyszewska? — Bezpodstawność tych twierdzeń.

I

PRZYJRZYJMY się autorce „Poganki". Oszołomieni tą bujną kompozycją[1]) zapytujemy, co to za rodzaj literacki: czy to powieść, czy poezja? Forma powieści, z polotu ideowego — poezja. Ale czy poezja nie jest potrzebna powieści, zwłaszcza gdy się rozszerza jej fundamenty? A właśnie był to okres robienia nowych wkładów w nowożytną powieść. Składała się na nią poezja romantyczna i filozofja. Widzieliśmy na paru utworach, jak w oczach naszych rodziła się powieść psychologiczna. Światopoglądy filozoficzne, pogłębione nową myślą, obracano na użytek poznawczy dusz własnych i cudzych, powołanych do wcielania tych idej w życie. Filozofja w ten sposób ściągana na teren psychologji, stapiała ideowość z życiem uczuciowem i oddawała się do dyspozycji poetom, wychowawcom, działaczom społecznym i powieściopisarzom.

Żmichowska była tem wszystkiem potrochu. Trudno spotkać w literaturze naszej tak szczęśliwe połączenie wszystkich tych elementów. Połączenie to w jej duszy składało się na niepospolitej wartości siłę twórczą. Warunki nie sprzyjały rozwojowi jej talentu, ale z drugiej strony, gdyby nie te warunki, może obceby jej były pierwiastki, które wytwarzały w niej psychikę wychowawczyni i działaczki.

Na chwilę nie traćmy z oka okoliczności, że życie jej przypadło na czasy straszne 1831 — 1863, że „Pogankę" pisała pod okiem srogiej cenzury rosyjskiej, za czasów Paskiewicza i szefa żandarmerji, Fryderyka hr. Nesselrode; że pisała w czasie, kiedy wiodła życie podwójne, w połowie zakonspirowane, chroniąc się nietylko od oka władz rosyjskich, ale także od lojalnego politycznie, bardzo wówczas zastrachanego społeczeństwa polskiego. Trudno nawet określić, wpatrując się w oczy jej duszy, wyzierające na nas z „Poganki", czem była więcej: artystką, czy wychowawczynią i propagatorką. Oczywiście bierzemy ją tutaj ze strony literackiej, jako poetkę; tu się ujawnia jej nerw artystyczny, ale nie zapominajmy, że w organizmie twórczym Żmichowskiej grała składnie całość ustroju.

Gdyby nie ta żywa krew uczuć narodowych i humanitarnych, gdyby nie prężność natury, skorej do nadawania psychice czynnej postawy, gdyby nie serce, płonące niesłychanym entuzjazmem,— „Poganka" nie miałaby tego rumieńca poetyckiego. Jest tam taki impet-temperamentu, że nie mamy ani możności, ani ochoty krytykowania pewnych nieporadności artystycznych, dających się odczuć w zbytniej nieraz rozlewności słowa, w sztuczności wysłowienia i t. p. Pokonywa nas wspania-

[1]) Ob. nr. 36 „Myśli Narodowej".

łością gestu duchowego. Odpisujemy chętnie wszystkie niedomogi na rachunek czasów literackich w Warszawie, tchnących pewną pierwotnością. Rysuje się przed nami ogólny kontur tej niepospolitej osobistości, imponuje nam gest, temperament, szlachetność tonu i zmyślność artystyczna.

Krzyżujące się wówczas wpływy literackie i filozoficzne rozmaicie kształtowały duszę pisarza warszawskiego. Inaczej zupełnie sformował się Norwid, w tem samem środowisku wyrabiający się wtedy na pisarza. Operowali oboje tym samym niemal materjałem ideowym i obserwowanym, pod tem samem pisali ciśnieniem atmosferycznem ducha czasu i warunków politycznych, a jednak rozbiegli się ku biegunom przeciwieństw z powodu odmienności ustrojów.

Żmichowska była jednolita, wyrastała z bardzo władnego i pojemnego serca, rozrastała się konarami we wszystkie dziedziny życia i sztuki. Z natury umysłu myśl jej dochodziła do uogólnień drogą indukcji i doświadczenia, to też sprawiało, że w sztuce zasadniczo była realistką, poetką realnego, acz na wysoki diapazon nastrojonego życia. Drogi ducha widziała niezwykłe, ale zawsze realne; nie ucieka się do mistycyzmu. Dla ułatwienia, gdzie wiedzy nie starczy, woli się uciec do wniosków z dziedziny magnetyzmu, lub (po mazursku) do czarów; zawsze jednak ściąga człowieka z nadobłocznych światów na ziemię, do punktu wyjścia, do kolebki ducha w rodzinie i społeczeństwie, jak to widzieliśmy z Benjaminem.

Była to organizacja zdrowa, skłonna do optymizmu i dobywania z siebie najwyższych tonów entuzjazmu. Miała silne i odważne serce, doskonale organizujące się z pracą myśli — myślące i bojujące serce. Stworzona była na tę epokę idealistyczną, dobywającą ze świata realnego to, co jest w nim duchowego i zdolnego do jednoczenia się ze światem nadziemskim. Godziła w sobie myśl filozoficzną (czytywała „Fichta") z duchem poezji romantycznej na tym punkcie pojmowania rozwoju, że siłą twórczą wysokobieżnej kultury jest miłość.

II

Romantyzm zawsze był entuzjastyczny, ale filozofja lat 40-ch dawała entuzjazmowi świadomość celów, leżących poza powołaniem romantyka, jakiem było wykazanie się z mocy swej indywidualności. Nie wystarczała także miłość „jednostkowa" (jak Gustawa, Wertera); entuzjaści zużytkowują miłość jako siłę społeczną, a jednocześnie boską. Żmichowska reprezentowała ruch umysłowy, rozgałęziający się w różne dziedziny twórczości i działalności społecznej.

Była guwernantką. Ludzie tego zawodu mają do czynienia z młodością innych istot, ale własną młodość zamęczają. W Żmichowskiej walczyły z sobą dwie psychiki: zawodowa i osobista. Pierwsza czyniła z niej moralizatorkę, bystro patrzącą i surową, druga — łaknęła radości życia. Entuzjazm jest zawsze młody, póki jest, bo przecież i on ulega prawom starości. Nauczycielki prędko się starzeją. W jednym z późniejszych (r. 1866) listów takie czyni zwierzenia swej przyjaciółce[2]).

„I taką lichą autorką bym nie była, gdyby mi się czasem do wyłączniejszego, szalonego uczucia serce nie zrywało, jak ptak do wschodzącego słońca. Ale moje serce na błyskawicach musiało poprzestać, bom się urodziła nieładną, nawet troszkę, w pewnych zwłaszcza chwilach, brzydką, — urodziłam się niesympatyczną — nie dość pociągającą zmysłowo, a nie wypracowałam znów w sobie tak wysokiej perfekcji, żeby aż nad ujemnością zmysłowego pociągu zapanowała, np. nie byłam nigdy dobrą, ale to tem, co się prawdziwie dobrem nazywa, od łagodności przez wdzięk w tkliwość i litość serdeczną — nigdy lub przynajmniej bardzo mało. Przeważnie byłam tylko sprawiedliwą, rzetelną... Nie byłam w całym ciągu życia mojego ani na 24 godzin, ani na jedną godzinę nawet, wzajemną miłością kochana. Dlatego dzisiaj nic już napisać nie mogę, bo mi na każdym kroku w pewnych danych — deficyt. Całe szeregi, całe kategorje są dla mnie niezrozumiałościami, mogę o nich tylko zwierzchu, nie ze środka mówić"...

Wyznanie powyższe pozwala nam zrozumieć autorkę „Poganki", jako sędziego w sprawach miłości cudzych. Z jednej strony pociągała ją do tych spraw ciekawość, z drugiej strony jednak o tych cudzych przeżyciach mogła mówić „tylko zwierzchu, nie ze środka". Jako teoretyk miłości, uzupełniała wyobraźnię klasyfikacją niemal naukową i pedantyczną jej rodzajów i rozgałęzień, a jako wychowawczyni i moralizatorka wpadała łatwo z entuzjazmu w zgrozę.

Gdy pisała „Pogankę", miała lat 26 skończonych, co już było staropanieństwem; jeśli uwzględnimy jej własne świadectwo, jak bardzo natura jej domagała się miłości, łatwo zrozumiemy, że jej twórczy udział w życiu bohaterów powieści zaprawiony być mógł sporą dozą zawiści, niedającej się nawet uświadomić, względem postaci kobiecych i niechęci w stosunku do mężczyzn. Było coś niemiłosiernego w tem, jak osądzała oboje i Aspazję i Benjamina. I Benjamina!...

W związku z przytoczonem wyznaniem Żmichowskiej, mianowicie — z tem, że zamało miała przeżyć osobistych i że z tego powodu „całe szeregi, całe kategorje były dla niej niezrozumiałe", wyciągnąć trzeba, dość łatwy zresztą, wniosek, że w kompozycji nie mogła się obejść bez wzorków, branych z życia. Utwierdzała się tą potrzebą w swoim realizmie literackim. Realizm, jako metoda szukania punktu wyjścia z rzeczywistości i powracania do niej z najdalszych regjonów entuzjazmu i fantazji, — leżał w jej naturze. Powszechnym zresztą obyczajem ówczesnej powieści było chwytanie z życia (nieraz bardzo przejrzyste) pierwowzorów.

III

Komponując miłosne sytuacje, musiała mieć w oczach model i o to dbała. Dlatego w utworach Żmichowskiej można domyślać się pierwowzorów, wziętych z życia; mają one wybitny charakter pamiętnikarski, tem różny od dokumentu pamięci, że autorka swój kunszt powieściopisarski widziała w sztuce kombinowania postaci i zdarzeń z autentycznych kawałków i polerowania tak, iżby nikt wzoru nie odpoznał. Pomagała jej w tem autobiograficzność, będąca niczem innem, jak korzystaniem z najłatwiejszego, będącego pod ręką materjału przeżyć. Żmichowska najpewniejsza była swego realizmu, kiedy wspominała własne przeżycia; pełno też jest tych przeżyć i tutaj (roz. I) i w innych utworach. Szafowała tym łatwym ma-

[2]) „Listy N. Żmichowskiej", t. II, 393 — 394.

terjałem, w czem nietrudno dopatrzeć się dowodu niedostatecznej kultury artystycznej.

Przeżycia osobiste, zwłaszcza z lat młodocianych, są kapitałem zasadniczym artysty. Od talentu zależy umiejętne nim gospodarowanie. Skarb ten leży w pokładach pamięci tak, jak bywa ze złotodajnym piaskiem w ziemi. Ten kruszec potrzebny jest artyście do każdego dzieła, które ma nosić na sobie znamię choć trochę poetyckie. Talent artysty można przeto mierzyć genjalnością instynktu, który ten kruszec przeżyć z duszy dobywa, oczyszcza i w pewnej proporcji do spiżu dodaje, aby dzieło miało ciepło w barwie i głęboki ton dzwonu. Bo właściwie skądżeby się brała poezja, gdyby rzeczywistość doznawana nie prowokowała głębokich wzruszeń podświadomości, w której spoczywają owe złote złoża przeżyć osobistych czy dziedziczonych? Że artysta tworzy, to się dzieje za sprawą tęsknoty, która jest wołaniem z głębin ducha o nowe życie w dziele sztuki.

Żmichowska w „Pogance" nie miała jeszcze tego rafinowanego instynktu artystycznego; upraszczała sobie zadanie przez oddawanie na użytek dzieła całego pola swego życia od dzieciństwa bez wytapiania z piasku złota. Oczywiście i to było piękne, jak kwietna łąka, ale artystycznie nieporadne. Zgóry można przewidzieć, że pisarz tak jednorazowo oddający swój kapitał, wiele nie napisze. I tak było ze Żmichowską.

Duch czasu brał ją na spowiedź i prędko wyeksploatował.

Pisarze, tak uspołecznieni jak Żmichowska, są organami ducha czasu. Ten dochodził do niej z literatury i bezpośrednio z pogwaru towarzyskiego. Kwestja miłości i romansu była wtedy aktualnością literacką i w powieści. Nie miłość jednak i romans uprawiano—to trzeba wyraźnie zaznaczyć, — lecz i d e ę miłości. Kwestja romansu i miłostek była pochodną, negatywną, przeciwstawianą miłości i osądzaną niemal inkwizycyjnie. Zagadnienia te rozpłomieniły wyobraźnię serca nauczycielki. Teorję swoją, o której wyżej wspomniałem, świętości, nieszczęścia i grzechu, jako różnych rodzajów życia miłosnego, postanowiła demonstrować plastycznie w dziele sztuki, mianowicie okazać, jakie oblicze może mieć „miłość jednostkowa" pogańska, to znaczy niechrześcijańska. Podobno Żmichowska miała zamiar napisać potem drugą powieść, pokazującą, jak wygląda miłość chrześcijańska, ale do tego nie doszło. A dlatego nie doszło, że było to dla niej zadanie zbyt trudne. Widzieliśmy potem, ile efektowniej wypadły sceny pogańskie w *„Quo vadis"* Sienkiewicza. Żmichowska była osobą wierzącą, ale nie można powiedzieć, aby światopogląd jej był wyłącznie chrześcijański.

Za punkt wyjścia swojej kompozycji wzięła własne wspomnienia z lat dzieciństwa, któremi się delektowała w tułaczce, odłączona od ogniska domowego. Do „Poganki" prawdopodobnie zużytkowała dobrą część tego materjału, z którego potem układała „Książkę pamiątek", ogłoszoną drukiem bezpośrednio po „Pogance". Oczywiście pozmieniała nazwy, zatarła ślady, któreby adresowały do niej wprost; potrzebne jej były sytuacje psychologiczne, które musiała brać z natury, a swoich była najpewniejsza. Ze wspomnień swoich tem skwapliwiej robiła użytek w tym wypadku, gdy chodziło o zagadnienie miłości, że właśnie szukając do tego zagadnienia materjału, nie mogła go nigdzie znaleźć w większej obfitości i w lepszej jakości. Świętość lat swoich dziecinnych widziała teraz przez pryzmat „kochania", tej najszczytniejszej postaci, jaką przybiera na się miłość. O sobie mówiła przez usta Benjamina: „Zrozumieliście mój wiek dziecinny i ówczesną naturę moją; wiecie, że zrodziłem się kochany, wzrosłem kochający; kochanie, zawsze kochanie — to cały moich kursów pedagogicznych sumarjusz... (63).

Widać to na oko, zresztą sama nie taiła tego w listach, że do utworu wiele swego życia wplątała; słusznie tak pojmowali włożone w usta Benjamina wspomnienia Chmielowski, Mann, Żeleński. Ale ten, kto „Pogankę" analizuje, współczuć musi z autorką w tym punkcie kompozycji, gdy nadchodzi konieczność pokazania, w jaki sposób z tego „kochania" przechodzi się do miłości pogańskiej, owej miłości, która jest nieszczęściem lub grzechem. Tutaj Żmichowska musiała już szukać modelu poza sobą i komponować fantazyjnie.

Miłość między mężczyzną i kobietą traktuje już jako bajkę.

IV

Tutaj byłoby miejsce na wyjaśnienie nieporozumień co do „Poganki", którym początek dał prof. Maurycy Mann w studjum swojem o tem utworze. Usiłował on przekonać, że Żmichowska psychologję dramatu Benjamina oparła na wzorze tego dramatu, jaki sama przeżyła, doznając zawodu ze strony przyjaciółki Pauliny Zbyszewskiej. Hipotezie tej Mann daje podkład psychologiczny tego rodzaju:

„Mamy tu więc do czynienia (w tej przyjaźni ze Zbyszewską) z wypadkiem niezwykłej, egzaltowanej przyjaźni, którą bujny umysł młodej poetki podniósł do potęgi romantycznej miłości. A gdy miłość ta skończyła się w życiu, powtórzyła się, odżyła w utworze literackim. Częste to zjawisko w historji literatury, zwłaszcza w epokach subjektywizmu. Wyłączmy tylko z „Poganki" pierwiastek miłości zmysłowej, a okaże się, że dzieje Benjamina składają się z szeregu momentów analogicznych do przeżyć autorki"...[4])

Tadeusz Boy-Żeleński w analizie literackiej, którą poprzedził „Pogankę", wydaną w Bibljotece Narodowej, idzie dalej, czyni mianowicie równanie kategoryczne: przyjaźń = miłość. „Narcyza — pisze — przedzierzgnęła się w Benjamina. Ona, której nieraz musiała dokuczyć jej kobiecość, uczyniła się młodzieńcem"...

Słowem — Aspazją jest p-na Zbyszewska, Benjaminem p-na Żmichowska — rzekłbyś, teatrzyk panieński na pensji. Uproszczenie to powstało z założenia, że wskutek jakiegoś zboczenia fizjologicznego w naturze Żmichowskiej, panieńska jej przyjaźń dla Zbyszewskiej zamieniła się w namiętność miłosną, niosącą z sobą nieszczęście. Na czem to oparte? Przedewszystkiem na tem, że Żmichowska w listach do przyjaciółek stosunek swój do Zbyszewskiej nazywa „miłością". Ależ w takim razie zmienić trzeba pogląd na cały okres historyczny, zwany okresem entuzjastów, i wyjaśniać go nie psychologicznie, lecz patologicznie, jako katastrofę nagminnego homoseksualizmu. Mamy z tego czasu setki, tysiące listów kobiecych

---

[3]) Wszystkie moje przytoczenia z „Poganki" pochodzą z wydania Bibljoteki Narodowej (oprac. T. Żeleńskiego).

[4]) M. Mann „Poganka", Warsz. 1916, s. 29 — 30.

i w żadnym z nich nie mówi się inaczej o sercowych między przyjaciółkami związkach, tylko „miłość". Nigdy chyba czasownik „kochać" nie był gęściej stosowany i z większym entuzjazmem. Ale historykowi tych czasów najgorszą przysługę zrobiłaby teorja Freuda, gdyby w niej szukał klucza do zrozumienia istoty entuzjazmu. Mojem zdaniem zupełnie wystarczające są tutaj kryterja psychologiczne i ideowe, które w pierwszym rozdziale uwydatniłem.

Żmichowska „kochała", i to goręcej niż Zbyszewską, cały wieniec przyjaciółek, które się garnęły pod rządy jej ducha. Nie były to jakieś zdrożne skłonności, bo te byłyby tajone; z listów Żmichowskiej (a mamy ich kilka tomów) wszystkie te „miłości" są analizowane wzajemnie, jako objawy uczucia podzielnego, przed światem nie ukrywanego. Z urywka listu, powyżej przytoczonego, gdzie Żmichowska żali się, że nigdy nie zaznała miłości, widzimy, że między kochaniem i kochaniem zasadnicze czyniła rozróżnienie, boć przecież, że była kochana przez swoje entuzjastki, tego nie mogła zaprzeczyć; to było jedyną bodaj radością jej życia.

Są w listach, choćby w liście do przyjaciółki Heleny Turnowej z Obiezierza[5]), ślady pewnych rozradowań, że ktoś z mężczyzn jej osobą się zajmuje. O miłości prawdziwej, „jednostkowej" rzadko w listach pisze, bo to była sprawa dla niej drażliwa, przez przyjaciółki pomijana. W powieści „Biała róża" (Dwoiste życie), gdzie ukryta w fikcyjnej postaci autorka mogła iść swobodnie za swemi skłonnościami, są sceny, gdzie entuzjastki, całując się i obejmując, zwierzają się ze swych marzeń — o mężczyźnie.

Nie umiemy dzisiaj rozumieć stanów psychicznych i moralnych tamtej epoki. Kompleks „entuzjazmu" ma zupełnie inną strukturę psychologiczną. Barwa towarzyska tej egzaltacji zbiorowej miała pewien odcień czułostkowości pensjonarskiej. Chęć życia, gdy przed niem otwierają się perspektywy, wyraża się w nastrojach radosnych. Towarzyszy im wylewność uczuć pełnych życzliwości dla otoczenia, narzucającej się świadomości jako miłość — miłość wszystkiego i wszystkich, a przedewszystkiem najbliższych. W ręce tych najbliższych pije się kielich radości. *Gaudeamus igitur*. Instynkty egoistyczne nie mają wtedy do duszy dostępu, osobistość swoją młodzieniec oddaje chętnie na własność przyjacielowi, wymieniając się z nim na dusze. Daje się to obserwować najlepiej w gronie koleżanek przed maturą, kiedy serce najwrażliwsze. Odbywa się tam współzawodnictwo o przyjaźń, stwierdzaną przysięgami. Dziewczęta parami jednomyślnie płaczą, śmieją się lub egzaltują, szukają swego towarzystwa, obejmują się i całują, tajemnicom niema końca. Rzeczy znane.

Takie stany trwać mogą dłużej poza szkołą, gdy warunki sprzyjają, gdy rzeczywistość te warunki przedłuża. Tak było w Kongresówce, gdy mężczyzn w sferze oświeconej po katastrofie 1831 r. zabrakło, gdy panny bez widoków na zamężcie wiodły żywot maturzystek, skazanych na obcowanie z sobą. To było tło chronicznego entuzjazmu, zasilanego w tej epoce dopływem wspólnych zainteresowań intelektualnych, entuzjazm ten uzasadniających. Prądy filozoficzne otwierały przed umysłami bezgraniczny przestwór życia idealistycznego i nową celów i zadań miłości świadomość. W ideach tych odnaleziono siebie ze swoją miłością i tęsknotami. Nie trzeba było nic w sobie zmieniać z czasów szkolnych, choć „matura" dawno minęła, choć już młodość więdła.

V

Twierdzenie T. Żeleńskiego, jakoby „Paulina Zbyszewska była modelem na Pogankę" i że to przypuszczenie „stało się pewnikiem" po ogłoszeniu listów Żmichowskiej, jest zbyt gołosłowne i może być powodem wielkiego bałamuctwa przy czytaniu tego utworu. Autorzy tej hipotezy, a nawet „pewnika", nie czynią rozróżnienia między kompozycją (rysunkiem) utworu a barwą użytą w celu nadania bajce rumieńców życia. Oczywiście artystka ma w duszy swoją paletę z nagromadzonym materjałem przeżyć osobistych, więc i zdarzenie ze Zbyszewską mogło tu być przy malowaniu pewnych stanów psychicznych zużytkowane. Nie można jednak rzeczy tak stawiać, jakoby to był dramat Żmichowskiej osobisty i to dramat, przeżyty właśnie ze Zbyszewską.

„Poganka" jest typowym utworem, pisanym na tezę egoizmu miłości osobniczej i niebezpieczeństw, grożących duszy przy odrywaniu się od życia w pościgu za szczęściem osobistem. Bezwzględność namiętności unosi człowieka w kraj, gdzie panują demony, duchy zniszczenia. Do tego schematu przygoda z przyjaciółką zupełnie się nie nadawała. Żmichowska nie uważała Zbyszewskiej nigdy za czarownicę, ani siebie nie miała za ofiarę zniszczenia moralnego. Owszem, skarżąc się na Zbyszewską przed Bibianną Moraczewską w liście ze stycznia 1846 r. (a więc w czasie kończenia „Poganki"), wyraża się o niej życzliwie. „Przyznaję Paulinie — pisze — zadziwiające zdolności, dążności jaknajlepsze, chęć dobrego najsprawiedliwszą, wiele szlachetności nawet"[6]). Gdzież tu demonizm Aspazji?

I zewnętrznie, skądże znowu „model na Aspazję"! Aspazja wyjątkowej piękności kobieta, Zbyszewska zaś była brzydka i pospolita: „mocno czerwona, twarz bez wyrazu i niełądna"[7]). Sawantka, snobka, gadatliwa, podobno bardzo zdolna i utalentowana, była w gruncie rzeczy histeryczką, nieznośną w stosunkach. Żmichowska, dająca ludziom wielkie kredyty ze swojego szczodrego serca, poszukując w niej serca, zabłąkała się w labiryncie intelektualistki, serca nie znalazła, natomiast doprowadziła do wybuchu histerji.

Historja ze Zbyszewską nie ma w sobie bynajmniej nic demonicznego. Ciosem była dla Żmichowskiej właśnie dlatego, że ją przygniotła swoją pospolitością. O cóż bowiem poszło? Wabiły się ku sobie: Zbyszewskiej imponował przepych moralny duszy guwernantki, tej zaś — magazyny wszelakiej wiedzy i uzdolnień w głowie Zbyszewskiej. Zdawało się im, że się „kochają" na jednych prawach. Żmichowska skorzystała z zaprosin bogatej przyjaciółki (do Kurowa) i tam u dziedziczki zamieszkała. Ani się spodziewała, że histeryczka w pewnym momencie będzie miała

[5]) „Listy N. Żmichowskiej i Z. Węgierskiej". Częstowa 1934, str. 32.

[6]) „Listy N. Ż. do rodziny i przyjaciół", t. III, s. 219.

[7]) Tak ją określił J. Bartoszewicz w swoim „Dzienniku". Ob. Żeleński „Poganka", XXII.

entuzjazmu dosyć i że poprostu — jako pani domu — okaże gościowi zniecierpliwienie. Do tego doszło, że na widok wchodzącej do pokoju przyjaciółki dostawała spazmów[1]). Biedna guwernantka uczuła się znieważona i z płaczem wyjechała. Płakała z upokorzenia.

Nie był to więc w gruncie rzeczy dramat zawiedzionej miłości, ale raczej ból dotkniętej w dumie godności osobistej, złość na siebie, że zawodzi instynkt i popełnia omyłki, niesmak. Żmichowska wstydziła się tego wydarzenia, wyznała go dopiero Moraczewskiej, ale np. pisując do p. Heleny Turnowej właśnie w okresie tej awantury, 'ten fakt przemilczała, bo czuła, że on ją kompromituje w oczach zwłaszcza dziedziczki. Gdyby nie ta różnica sfer, jaka dzieli guwernantkę od bogatej właścicielki dóbr, pewno mniejby cierpiała. Poczuła się dotknięta jako demokratka.

Przecież nie sprzedała duszy za miłość, jak Benjamin. Nic nie miała wspólnego z jego historją.

ZYGMUNT WASILEWSKI

[1]) „Listy", III, 217.

IRONJA, KTÓREJ NIE DOSTRZEŻONO

CENZURA słowa może się rozciągać nietylko na politykę, ale i na różne dziedziny, i występuje w rozmaitych postaciach. Podlegać jej mogą również i zagadnienia naukowe lub filozoficzne. U nas istnieje np. cenzura utrudniająca wykazywanie absurdu teorji względności i doktryn będących jej progeniturą. Ich rozpowszechnianie znajduje w publicystyce szerokie poparcie. Natomiast każda książka, która je zwalcza, która wykazuje ich bezpodstawność naukową, a szkodliwość społeczną, zostaje skazana na uśmiercenie. Niemcy stworzyli dla tego rodzają cenzury znakomite określenie: — *„Todtschweigen"*.

Takiemu „przemilczeniu na śmierć" uległy prace profesorów Millera, d'Esclangona, Carvallo, którzy nietylko drogą rozumowania, ale i doświadczalnie obalili przed rokiem podstawy einsteinowskiej teorji względności. Wyraźnie: o b a l i l i; bo w doświadczeniach Michelsona, na których się ta teorja opiera, odkryli błąd, i pochodzenie jego wyjaśnili. O pracach tych uczonych pisano niemało we Francji, ale w naszej publicystyce zgilotynowała je cenzura przemilczenia. Nietylko nie wspomniano o nich ani jednem słowem, lecz przeciwnie: tem silniej rozwinięto propagandę einsteinizmu i wyrosłych z niego takich np. absurdów, jak rzekome pogrzebanie w nauce zasady przyczynowości.

Tego rodzaju pojęciami karmi się umysły pod pozorem popularyzacji wiedzy naukowej. Tymczasem z nauką ścisłą nie mają one nic wspólnego. Są to luźne doktryny filozoficzne, zbudowane sofistycznie, które znakomicie pokrywają się z filozofją Barucha Spinozy i prostą drogą prowadzą do panteizmu. Jeśli bowiem odrzucimy przyczynowość, która jest wyrazem Mocy i Woli niezależnej od materji i panującej nad zjawiskami przyrody, to musimy zakonkludować, że każda cząstka materjalna jest sama wolą swych zjawisk, a więc cząstką jakiegoś rozproszonego w materji boga.

W tych konkluzjach orjentuje się niewątpliwie bardzo dobrze publicystyka masońskiego i wolnomyślicielskiego kierunku, intensywnie propagująca einsteinizm. Natomiast publicystyka stojąca na gruncie katolickim i narodowym zdaje się zgoła niedostrzegać charakteru tych doktryn, i również uprawia od czasu do czasu ich propagandę, zupełnie błędnie szukając w nich argumentów, których narodowa i katolicka ideologja wcale nie potrzebuje. Przeciwnie. Byłoby smutne, gdyby ich szukać musiała w sofistyce absurdalnych doktryn, sprzecznych z ludzką psychiką, z dogmatami katolicyzmu i ze zdrowym sensem.

O ile tedy cenzura przemilczenia, uśmiercająca głosy przeciwników einsteinizmu, jest zupełnie konsekwentna ze strony publicystyki masońskiej, o tyle nie można jej zrozumieć w publicystyce broniącej katolickich zasad. I ci, co ośmielają się wykazywać absurdy i sofizmaty wspomnianych koncepcji, spotykają się z cenzurą dwustronną.

Ale gdzie istnieje cenzura, tam rozwija się talent pisania między wierszami. Wykazał go ostatnio p. Antoni Cwojdziński w swej komedji „Teorja Einsteina". Ironji, z jaką tę doktrynę autor potraktował, nie dostrzega się może słuchając jego komedji w teatrze, i dopiero w druku, jeśli się djalog czyta z uwagą, uwydatnia się subtelna ironja.

Propagatorem einsteinizmu jest tu profesor wykładający tę doktrynę, a jego przypadkowymi słuchaczami w domu, gdy przygotowuje wykład, są: jego przyjaciel - literat, i służąca, Marynia, bardzo poczciwa, bardzo spoufalona i bardzo sympatyczna. Marynia, słuchając, wtrąca się, i wywiązuje się stąd rozmowa połączona z dyktowaniem notatek przez profesora jego sekretarce. Razem stwarza to popularny wykład einsteinowskich koncepcyj czasu i przestrzeni.

Maryni zdaje się w pewnym momencie, że już zaczyna coś „ciut ciut" rozumieć, ale, że im dalej w las, tem więcej drzew, więc dochodzi wreszcie do wniosku że „tego, to już nikt nie skapuje". No, i profesor przyznaje, że tego istotnie „skapować nie można". Potem przechodzi do koncepcji przestrzeni wszechświata. Einstein odkrył, że chociaż nie jest ona ograniczona, to jednak jest skończona. W teatrze nikt z widzów nie ma czasu zastanawiać się nad sensem tego twierdzenia. Ale literatowi na scenie szczęście wyjątkowo sprzyja, bo odrazu „świetnie zrozumiał". Natomiast Marynia jest w położeniu widzów. Będąc jednak naturą szczerą i bezpośrednią, przyznaje otwarcie, że nic nie rozumie, a profesor po raz drugi stwierdza, że „bardzo słusznie, bo tego znowu nie można zrozumieć".

Ten więc profesor, ten poniekąd sam Einstein na scenie, dwukrotnie przyznaje w pierwszym zaraz akcie, że sam nie rozumie własnych teoryj, a przynajmniej tych, które propaguje. Jest to ocena ich naukowej wartości. Ten ironiczny do nich stosunek autora komedji wyraża się nietylko w tem

jednem miejscu. Dalej bowiem dyktuje profesor swej sekretarce, że „powierzchnia jest zawsze dwuwymiarowa, posiada tylko długość i szerokość, ale nie ma grubości". Jednakże, stwierdziwszy, że jest ona dwuwymiarowa z a w s z e, dyktuje sobie najspokojniej dalej, że może jej się także przytrafić, że będzie trójwymiarowa, będzie miała grubość. I taki przypadek rozchorowania się na grubość spotkał ją właśnie w einsteinoskim czterowymiarowym świecie, którego powierzchnia jest trójwymiarowa.

Ironja, podkreślająca sprzeczność własnych twierdzeń profesora co do charakteru powierzchni, uszła prawdopodobnie uwagi widzów w teatrze. Byłaby wyraźniejsza, gdyby się w tem miejscu wywiązał taki np. djalog:

MARYNIA: No, tera, to ja proszę pana, już nie ciut ciut, ale zupełnie rychtyg wszystko rozumiem.

PROFESOR (ze szczerem zadowoleniem): To bardzo dobrze, bardzo mnie to cieszy.

LITERAT (do profesora półgłosem): Nie przypuszczałem, ażeby teorja Einsteina mogła tak łatwo trafić do umysłu szerszych mas. (Zwracając się do Maryni) Może nam Marynia powie jak to rozumie, jak sobie ten czwarty wymiar wystawia?

MARYNIA: Ato, proszę pana, niby tak, że tam są tyż takie uczone, tylko już całkiem czterowymierne, które powiadają, że ich świat to jest powierzchnia jeszcze inszego, niby pięciowymiernego, bo im to powiedział ich Cwajsztajn.

PROFESOR: Co? Co? Co takiego? Co to ma znaczyć, co to za Zweistein?

MARYNIA: A, bo prosze pana, jak u nas ten czwarty, niby ten wymiar, nazywa się ajnsztajnizm, to ichni piąty musi być pewnikiem cwajsztajnizm, żeby klapowało. I tak ciągiem furt bez końca mogą uczone wymyślać coraz więcej wymiarów, byle im tych tam sztajnizmów nie zbrakło.

Ale komedja z takim djalogiem prawdopodobnie nie doczekałaby się wystawienia u nas, gdzie einsteinizm jest Tabu. Ironja byłaby za gruba. Gdy tymczasem na znacznie cieńszej nie poznała się cenzura przemilczenia, pomimo że już w samym początku komedji ironja autora występuje bardzo wyraźnie. Mianowicie w drugiej scenie pierwszego aktu literat otwiera jedną z książek leżących na stole profesora i czyta: „Żyjemy na trójwymiarowej powierzchni czterowymiarowego świata", poczem następuje taki djalog:

LITERAT: Przecież bez zawodowego wykształcenia nikt tego nie zrozumie.

PROFESOR (poufnie): Z zawodowem też nie.

To p o u f n e przyznanie się propagatora i popularyzatora einsteinizmu, że rozpowszechnia doktrynę, której nie rozumie, jest kapitalne. Pan Cwojdziński spłatał tu znakomitego figla różnym cenzorom organizującym co pewien czas ku chwale einsteinizmu „pogrzeby Newtona w gronie wtajemniczonych".

JAN WORTMAN

MIĘDZY STOICYZMEM A CHRZEŚCIJAŃSTWEM

(O POEMACIE RELIGIJNYM MICHAŁA PAWLIKOWSKIEGO)

JAK już w artykule p. t. „Poeci medyccy" wzmiankowałem[1]), po napisaniu tegoż ukazał się utwór p.t. „W i e r z ę w J e d n e g o Boga— poemat—z hymnów strzelistych pierwszy" [2]), po przeczytaniu którego uważam za konieczne skorygować — ale i kontynuować — mój pogląd na religijność poety, jak się ona w „Harfie Eola" wyraziła.

I

K o r e k t a polegać będzie na stwierdzeniu, że religijność poety wzbija się tu wysoko, ponad czysto estetyczną chwalbę potęg przyrody, przez które prześwieca straszliwa — jak się w gruncie okazuje—amoralna potęga Boga, który jest raczej nazwaniem Życia, ślepego i rozpętanego, niźli Ojcem dla duszy człowieka Doskonałym. K o n t y n u a c j a stąd wynika, że i teraz jeszcze, reprezentatywnym atrybutem Boga będzie s t a n o w i c i e l s t w o bezwyjątkowego i nieugiętego p o r z ą d k u N a t u r y. Tego Boga o nic się nie prosi, owszem małodusznością byłoby błagać Go o cud, sam bowiem fakt stworzenia, czyli istnienia świata, z zawartym w nim porządkiem naturalnym jest cudowny.

[1]) Por. „Myśl. Narod." nr. 31—33.

[2]) „Medyka", 1934. „Bibl. Med." op. 12, skł. gł. w Domu Książki Polskiej. Str. 19.

„Pochwalony niech będzie Bóg prawdziwy, Cudotwórca dziwem swojego Stworzenia nad wszystkie dziwy cudowny... który bytowi dał prawa bezpieczne i nieodmienne a myślom ludzkim dał stery.

Ludzie mali, łakomi guseł bez trudu, pytali na potęgi jego świadectwo, aby prawa gniótł dane naturze, aby rzucał ton fałszywy przeciwko własnej harmonji".

Passus to, zadziwiający mnie u c z ł o w i e k a tak katolickiego, jakim jest autor poematu[3]): typowo katolicka modlitwa nie cofa się przed kuszeniem do cudu.

To prawda, że niezmiernie wzniosła jest ta modlitwa, w której się człowiek do Boga nie zgłasza z żadną swoją „marną sprawą człowieczą":

„...już nie proszę o nic i niczego nie wymawiam sobie... Bo i o cóż mógłbym Cię prosić? Czy o to byś zmienił naturę natury? Czyli byś cofnął czas, czyli by rzeki

[3]) Nawiasem powiedziawszy „katolicy nie twierdzą, by Prawodawca musiał zatrzymywać lub łamać swe własne prawa, czyniąc cud, lecz że poprostu na chwilę wprowadza w czyn inne, nadnaturalne prawa, wyższe od praw zwykłych, innemi słowy, katolicy twierdzą, że Stwórca jest silniejszy od stworzenia, że posiada całe zapasy energji do rozporządzenia, o których bardzo mało albo nic nie wiemy, i że korzysta z tej energji do rozporządzenia przy niektórych zjawiskich w sposób, którego wobec stanu dzisiejszego nauki wyjaśnić nie możemy". (R. H. Benson „Chrystus w życiu Kościoła", Księgarnia św. Wojciecha, 1921, *Imprimatur*. Poznań, 1921).

płynęły do góry? Czyby się las położył, czy by stanęło morze? Czy o to, byś ziemi kazał mówić, czy byś w kamieniach serca otworzył?"

Konkretnym, poetycznym stylem wyrażona afirmacja porządku naturalnego. Kiedy człowiek tak wierzący, ale prędzej deista, niż chrześcijanin katolicki, zmiesza się pod sklepieniem kościoła z rozmodlonym tłumem prostych ludzi, to zapragnie zaznaczyć odmienność swej pobożności: „Nie przywiodła mnie prośba i nie przywiodła trwoga". Modlitwa jego będzie tylko i wyłącznie prostem, irracjonalnem, woluntarnem i przez to wszystko, jak nawskroś nowoczesnem, jak charakterystycznem dla inteligenta współczesnego, kiedy do wiary nawraca i jak monumentalnie uproszczonem *credo*: „Choćby nie wiem co było i nie wiem jak było: Wierzę: Wierzę w Jednego Boga".

Oto świadomy woluntaryzm tej wiary:

„Płaszcz moich nędz i mojej troski opada mi do kolan. Na strzępy opada mi podarta szmata, w głogowej krwi skąpana, z ramion moich oblata... Zagasła moja myśl w ciemności... i tylko wola została — Uparta wola dobrego — a tej choćby nie wiem jak było, nie wydrze mi nigdy nikt, bo ta jest z Niego".

Znowu jak wspaniały—tym razem jakby jakiś kantowski akcent: jak niebo gwiaździste nad człowiekiem, tak prawo moralne w człowieku: dwie rzeczy niepojęte skąd się wzięły, a tak niewzruszenie pewne.

I jeszcze raz heroiczne a głęboko współczesne, przez swą ekonomję i treści i wyrazu zeznanie:

„W radość natury wierzę i w sens bytu, choć nie znam sensu własnego życia i nie zaznałem radości ni dosytu".

Jeśli świat ma sens, (co znaczy: sens najlepszym ludziom zrozumiały), jeśli zrobiony jest z tego co wyższe i lepsze, a nie z tego co niższe i gorsze, które to zaufanie istotne jest dla metafizycznego idealizmu, jak to zauważył gdzieś William James, przez tych niedoceniony co o nim lekceważąco gadają... nie znając go!...) otóż, jeśli się ufa, że tak jest (a dobra niepojęta i niezgłębiona wola tak właśnie chce, nie inaczej...) to wartości powinny trwać:

„Wierzę i wiem, że nie zginie daremnie żadne pragnienie gorące i czyste, choć dałem całego siebie za me pragnienia gorące i czyste nadaremnie... Wierzę i wiem dawno, że jest gdzieś waga spraw wszystkich pozamną, wierzę i wiem, że Bóg patrzy i żywie, i choć myśl tego nie pojmie, że mi wydziela sprawiedliwie".

Nic tu odspołecznego, wszystko najosobistsze. Bóg jest tu supozycją konieczną, a supozycją serdeczną, jeśli się chce wytrwać przy tym elementarnym postulacie dobrej woli, że wartości powinny trwać: nie tak, żeby się dobroć miała opłacać, ale tak, żeby z tego co jest dobre nie wynikało nigdy nic co jest złe; zapomnienie zaś o dobru i bezskuteczności dobra, są chyba czemś złem!... Otóż więc takiego Boga pożąda, wraz z wiarą wielu współczesnych[4]) wiara naszego poety, Boga który jest Wielkim Gwarantem wartości. Jakżeby wartości człowiecze mogły trwać, niezapomniane być i nad śmiercią zwycięzkie, gdyby na dnie wszystkiego nie był Ktoś, kto sobie człowiecze wartości zamierzył?... Tu już wysokośmy wyszli ponad deizm, ponad etyczną teologję Boga Wielkiego Zegarmistrza, rzekomo na to myśli potrzebnego, żeby to co się nie ruszało raz nareszcie zaczęło się ruszać, a który Bóg, wobec doskonałości swego dzieła, może się do niego więcej nie mieszać. Jesteśmy już w teizmie (bo taką, zdaje mi się, etymologiczną różnicę nasz obyczaj terminologiczny rozróżnił między koncepcjami Boga, jedną aetyczną, drugą etyczną, między wiarą w Tego, który tylko i wyłącznie jest autorem, ustawodawcą natury, a wiarą w Tego, z którym człowiek w domku swego ducha może dogadać się...)

Także i w tym poemacie chwali się Boga przez morze, ziemię, przez niebo, przez ciszę i góry:

„Górska cisza głęboka. Południe. Słychać tylko szmer lasu i szum potoka i głęboki zbyrk dzwonka mierędzającej po polanie krowy... Ponad grań, jakże zjeżoną wysoko—białe obłoki się gonią. Przedemną łuk wielkiej góry... Jakże rozpięty szeroko! Świat się w pogodzie złoci... Słychać gdzieś świerszcza, który bierze pierwsze skrzypce natury: O Boże wieczystej mocy i nieskończonej dobroci...".

Ale ponad ten z entuzjazmu estetycznego poczęty entuzjazm wiarotwórczy, wzbija się etyczna, gorzka i niezłomna, wola do wiary *will to believe*, chcenie Boga: wbrew poczuciu, że w swojem życiu żadnych jawnych znaków Opatrzności nie zaznał, wbrew „piołunowi w ustach"; wznosi się ku zaufaniu do Rzeczywistości, w Bogu uosobionej: „Wierzę w Boga nieskończenie miłosiernego, chociaż nie wziąłem z Jego miłosierdzia i choć nie spodziewam się więcej niczego". Wyznam odrazu otwarcie, że głębiej wzruszyłaby mię ta afirmacja, gdyby mię doszła z ust człowieka, który na serjo nie doświadczył, dobrej doli boć przecie samo już modlenie się w domu światłym i zamożnym a nie w ciemnym zakamarku miejskiej lub wiejskiej biedoty, jest wielkim przywilejem losu, którego nie zaznały miljony... Wzruszyłaby mię też, gdybym mógł przypuszczać, że piołun w ustach poety jest — żeby tak niegramatycznie powiedzieć — piołunem w cudzem imieniu, w imieniu tych, którzy, na serjo wziąwszy rzeczy, życiowo a niepoetycznie, napewno w dozach o wiele większych piołun zażywali... Niestety, wobec stwierdzonego już przezemnie poprzednio egotyzmu poezji medyckiej, nie jestem przekonany, że tak właśnie brał to autor tego wzniośle pięknego poematu... A może?... Lecz proszę słuchać dalej—a słuchać tego będzie każdy podniesiony na duchu — (panowie formiści, t. j. merytoryczna istota przeżyć estetycznych: uczuć w sobie większe serce, lżejszy ciężar siebie, głębszy swój oddech!) otóż słuchać tego będzie z rozkoszą głęboko estetyczną, bo głęboko etyczną, każdy kto zaznał złego, ale nie chce zaprzeczyć swemu istnieniu, kto czuje, że to jest jakaś święcie zdrowa rzecz wbrew wszystkiemu chcieć być, kto więc walczyć postanowił:

„I chociaż krew po mnie ścieka i niewiem co mnie czeka, mam pewność celu spokojną. Rozumiem, żem przecie rycerz i rozumiem, że wojna jest wojną".

Czy to nie wzniosłe, wzniosłe po stoicku? Ale dalej:

„Więc już nie proszę o nic i niczego nie wymawiam sobie. Nie pokazał mi rozum ubogi żadnej drogi i o żad-

[4]) Żeby tylko przypomnieć niektóre wynurzenia religijne w „Nocach i Dniach" M. Dąbrowskiej.

nym nie wiem sposobie. Doszedłem obwodu koła, doszedłem brzegu tarczy. Poza nią otchłań niebios gdzie myśl ludzka nie wystarczy"...

Teoretycznie to już nie jest stoickie, bo stoicyzm ufał, po klasycznemu, że rozum otwiera człowiekowi drogę do afirmatywnego na świat poglądu: ten zaś tutaj irracjonalny woluntaryzm, to rzucenie się na morze tajemnic jedynie w uzbrojeniu nagiem metafizycznego ryzykanckiego zaufania, to jest rys jak zauważyłem już, nawskroś nowoczesny: Heroizm duchowy pokoleń, które przez agnostycyzm przeszły i, czy to na ostatnim szańcu wiary w dobry, więc boski sens bytu, stawiają ostatni ale już niezłomny opór, czy to do religji — nawracają, ale zatrzymują się na tej pozycji granicznej, gdzie maximum agnostycyzmu połączyć jeszcze można z maximum religijnej afirmacji Bytu.

Temu teoretycznemu stanowisku najlepiej właśnie odpowiada stoicka ekonomja wyobraźni religijnej, stoicka wzniosłość nawskroś męskiej zdyscyplinowanej rezygnacji, rezygnacji ze szczęścia, ale nie z obowiązku. Świat posępny, ale świat apolliński, świat heroicznego ładu.

Trzeba robić swoje, czynić dobrze, choćby nie było widać żadnego skutku, z pociechą tej jedynie, której gwarantem jest „Bóg prawdziwy", metafizycznej nadziei, że energja wysiłku etycznego nie ginie, że w jakiś sposób służy się Dobru nawet, gdy tu na ziemi nie widać żadnego dobrego skutku dobrej intencji:

„Już nie przychodzę ze sprawą, z żadną moją sprawą człowieczą — wszystkie mi one z rąk podniesionych ku Tobie przez palce lecą...

Nie czekam za me uczynki zapłaty i nie lękam się kary za nie. Wiem, że kiedyś na wszystko przyjdzie w Królestwie Twojem świętem wieczyste wyrównanie".

Charakterystyczna rzecz, jak sobie poeta w tym poemacie wyobraża nieśmiertelność duszy: znowu po polnemu, roślinnie raczej, bezimiennie niż w wymiarach osobistości ludzkiej:

„Jeno weź dziś moją duszę, i zatop w otchłani bytu niezmierzonej, we wiecznej cichej pogodzie, złotej, niebieskiej i zielonej... I w morzu Twojego stworzenia zatop jej siły, aby się kiedyś na jakieś dobro zwycięskie złożyły".

A teraz powtórzmy akcent owej euforji, którą u tego poety stwierdziliśmy poprzednio, akcent już z pogranicza mistycznego: modli się o to, aby jego wielka energja kiedyś falą mistyczną na świat wróciła świat budzić, myśl i artystycznie przez swoją nowość wzniosła:

„A rozpęd, który jej dałeś, jak gwieździe rzuconej w otchłań, wróć znów fali wezbranej rytmów wszystkich natury — by rosła i poszła kiedyś i świat śpiący zalała z góry:..

A teraz wszystką jej dumę i wszystką jej szumną hardość przyjm do chorału ziemi, aby się chwale Twojej stało zadość".

Jeśli piękno i wzniosłość mogą być argumentami za jej prawdziwością — (bo któż wie, czy w absolutnej i obojętnej Otchłani Wszelkich Możliwości nie ma osobnej rubryki na to co powinno być, a to co piękne i wzniosłe chyba powinno być?...) — to poemat Pawlikowskiego jest dobrą argumentacją z spirytualistycznym i teistycznym poglądem na świat. Kto chce pojąć jak to u nowożytnego człowieka wygląda powrót do teizmu, to w tej książeczce, niewielkiej rozmiarami, ale nabitej gęstą treścią, znajdzie widok nader pouczający, ale pouczający dlatego, że głęboko poetyczny: prozą powiedziane, albo w formie poetyckiej, lecz pospolitszej, nie byłoby to wszystko tak wiarygodne...

LUDWIK KAROL KONIŃSKI

ODWAR LIPOWY

Była lipa przy kościele, rozrosła cienisto,
co od rana grała pszczołą, jak chór organistą.

Pod kościołem dziad i babka — dwa uschnięte wióry...
On miał rok dziewięćdziesiąty, ona — Bóg wie który!

I był lipiec cały w lipach, w złotych centkach cały,
dzień od miodu aż się lepił i pszczoły huczały.

„Tak mnie zimą — wzdycha babka — kaszel w nocy dusi!
Przydałby się kwiat lipowy, przydałby babusi"...

A tu pora wkrąg odświętna, słoneczne wesele,
grzmi pszczołami miodna lipa, niczem chór w kościele!

A tu żeni się z pogodą ciepło-okie lato!
Grzmi radośnie lipa latu swe *Veni Creator!*

...A dziad nuże nurzać kostur w chłodno-wodnej lipie,
liść szeleści, liść się trzęsie i okwit się sypie.

Aż zgiął nisko gałęzisko robotą brzęczące,
śniado białe i upałem wonne i gorące.

„Mam ją! Trzymam!" — chwyta babka zielone liściska —
„i nie puszczę, póki z kwiatu do cna nie wyiskam!"

„Kiedy sobie zimą, na noc, kwiatem war zasypię,
„siódme poty buchną na mnie i pszczele i lipie!"

I targała w brudny fartuch to kwiecie lipowe,
i doiła złotą lipę jak zieloną krowę.

I zbierała ten lek lepki od letniej spiekoty,
na dziadowski biedny kaszel, i dziadowskie poty...

BEATA OBERTYŃSKA

GŁOSY

ŻYCIE POLITYCZNE MA SWÓJ SŁOWNIK, ma swoje terminy określające rozmaite zjawiska zachodzące w życiu publicznem. Jednym z nich, najczęściej od lat dziesięciu używanym, było słowo „partyjnictwo", Zrodziło się ono z reakcji na widok niewyrobienia politycznego w pierwszym okresie po odzyskaniu niepodległości. Trzeba przyznać nawiasem, że dwa skrajne ówcześnie światopoglądy t. zw. prawicowy i lewicowy były zadziwiająco zbieżne w swoich poczynaniach. Jeden z nich budował demokrację dla demokracji, drugi przez podziw dla Wielkich Demokracyj Zachodu, które połączone w koalicję zdołały pobić Niemcy. Na usprawiedliwienie tej zbieżnej pracy należy dodać, że nikt wówczas nie przeczuwał upadku parlamentaryzmu w świecie, przeciwnie, sądzono nawet, iż jego linja rozwojowa może pójść jeszcze dalej aż do formy republik sowieckich, zupełnej, idealnej, anarchji.

Pierwszy z obozów, który począł reagować na kalectwo polskiego życia politycznego skutkiem — użyję popularnego dzisiaj terminu — panującego „sejmowładztwa" był obóz narodowy. Zamach majowy przyszedł do władzy jedynie z programem sanacji moralnej. Kurs antyparlamentarny wyrodził się potem dopiero, gdy sejm wyrażający opinję publiczną stawał się coraz bardziej nieprzychylny panującemu systemowi.

W miarę wzrostu anarchicznej i pozbawionej pozytywnego stanowiska do zagadnienia parlamentaryzmu akcji sfer sanacyjnych, poczęło się coraz bardziej krystalizować w tej sprawie stanowisko kierunku narodowego, co więcej — począł on wprowadzać w czyn swe przemyślenia. Przedewszystkiem począł przekształcać swoje formy pracy; z partji stawał się obozem, który wytworzywszy wielki prąd narodowy począł kształtować życie publiczne w Polsce. I tu trzeba stwierdzić kategorycznie i stanowczo: jedynie nacjonalizm w Polsce staje się i jest mocen w przyszłości przeciwstawić się t. zw. partyjnictwu. Jakie bowiem są wyniki pracy przysięgłych wrogów sejmowładztwa — sanacji?

Mieli w ręku wszystko. Mieli przedewszystkiem możność wprowadzenia swoich koncepcji w życie. Od demokracji przeszli do absolutyzmu i, w gruncie rzeczy, odrodzili zamierające na szczęście „partyjnictwo" z jego targami, niesnaskami, wielką polityką w szklance wody i przysłowiowemi wielkimi ludźmi do małych interesów. Rozłamy w stronnictwie ludowem, sposób stawiania kandydatur do sejmu, rodzaj walki wyborczej, wszystko to przypomina najgorsze tradycje naszego niedojrzałego w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości życia.

Widać wyraźny rozdźwięk między wynikiem a koncepcją.

A może to właśnie wynik braku koncepcji?

PAŃSTWOWA RADA OCHRONY PRZYRODY — piszą nam z Zakopanego — ustąpiła gremjalnie, a także delegat Ministerstwa W.R.O.P. dla spraw Ochrony Przyrody, prof. Szafer, ustąpił ze swego stanowiska, a to z powodu, że Rząd udzielił koncesji na budowę kolejki na Kasprowy Wierch w Tatrach, wbrew sprzeciwom tejże Rady i delegata.

Dla wielu osób sprawa ta może być błahą i nikt nie będzie twierdził, że kwestje ochrony przyrody i piękna krajobrazu, a w szczególności owej kolejki, należą do najważniejszych społecznie... Ale jednak, udzielenie owej koncesji na przedsiębiorstwo, którego zresztą nikt naprawdę nie potrzebował, otwiera interesujący bardzo widok na kwestję, kto właściwie w społeczeństwie dzisiejszem rządzi — inteligencja, warstwa gospodarczo bezinteresowna, powołana do strzeżenia takich czy owakich, ale w każdym razie i d e a ł ó w, czy burżuje-kapitaliści?

Począwszy od ś.p. Stanisława Witkiewicza, który jeszcze w swej książce „Na przełęczy" (II ed. 1906) występował przeciwko projektowi kolejki na Świnicę, aż do prasowej polemiki z przed roku i 2 lat, z wyjątkiem niewielkiej garści opoponentów skupionych przy I. K. C. lwia część opinji osób mających coś z górami do czynienia: Tow. Tatrzańskie, związki taternickie, zasłużeni pionierzy ochrony przyrody — wszyscy oświadczali się przeciw temu projektowi. Wiele osób mniej z kwestjami ochrony przyrody obeznanych dziwi się o co tyle oburzenia. Ale niechże wystarczy ta świadomość, że, jeżeli ludzie co się na tem z n a j ą, uznali zabudowanie Tatr kolejkami i t. p. za niestosowne i szkodliwe, to chyba i c h zdanie powinno było na szali zaważyć. Tymczasem zaważyło zdanie tych, co mają kapitały i chcą dać tym kapitałom w tem akurat miejscu zarabiać. Znawcy powiadają: ogółowi waszej kolei nie potrzeba; kapitalista chce wytworzyć nową zbędną (pseudo! —) — potrzebę i przymusić ogół, żeby znosił dywidendę. — Państwo zaś w sporze pomiędzy idealistą, któremu wystarczy skromna i zdrowa przyjemność drapania się na góry własnemi nogami, a kapitalistą, który dla własnego interesu, chce zaszczepić hałaśliwe wygodnictwo, staje po stronie tego ostatniego. Przyczynek do tego, kto i co znaczy: intelektualista czy burżuj, ideał czy dywidenda?

TWÓRCZOŚĆ POLITYCZNA i GOSPODARCZA SANACJI. W „Gońcu Warszawskim" znajdujemy ciekawą ilustrację do kroniki ruchu przedwyborczego w Warszawie. Zapowiedziano zebranie bankowców.

„Punktualnie o godzinie 18,30 stawili się aż czterej mówcy pp. adw. Sokołowski, Krukowski, Hoppe i Karasa. Trzej pierwsi są kandydatami do Sejmu z Warszawy. Wobec braku słuchaczy kandydaci sanacyjni postanowili czekać na ich przybycie. W ciągu pół godziny przybyło czterech słuchaczy, podczas gdy członków związku bankowców, którzy otrzymali imienne zaproszenia, jest w Warszawie przeszło tysiąc.

„W tym stanie rzeczy mówcy podzielili się słuchaczami, że na każdego mówcę przypadał j e d e n w y b o r c a. Zaczęto w ten sposób przekonywać indywidualnie przybyłych na zebranie. Należy przypuszczać, że panom kandydatom udało się zdobyć po jednym zwolenniku, choćby z uwagi na zaszczyt, jaki im zrobili".

W Warszawie wychodzi tygodnik „Dziś i jutro". Jest to organ sanacyjnej „Partji Pracy". Redaktorem pisma jest p. Wł. L. Evert, będący jednocześnie prezesem zarządu rzeczonej partji. Na pierwszej stronie nr. 10-11 — szereg odezw, wzywających do głosowania, i wielki artykuł polityczny o kryzysie. Czemże się ma zajmować Partja Pracy, jeśli nie kryzysem? Czytamy więc z zaciekawieniem.

Ideolog Partji Pracy utrzymuje naprzód, że wogóle kryzysu niema, a choćby był, to cóż na

to pomoże nauka ekonomji albo statystyka? Ekonomja jest to taki klucz od zatrzasku, który właśnie do zatrzasku nie pasuje, a statystyka — posłuchajcie:

„Mając z statystycznemi argumentami do czynienia, pamiętam zawsze pewnego zapalonego statystyka. Opowiadano mu, że w pewnej kawiarni do jedynego zajętego przez czterech gości stolika, podszedł facet i jednemu gościowi dał cztery razy w papę. Bagatela! odparł statystyk — niebezpieczna kawiarnia. Każdy jej gość dostaje przeciętnie, raz po twarzy”...

Organ Partji Pracy tak kończy swój programowy artykuł:

„Obawiam się, że wiele osób przestanie dalej czytać. Jestem zbyt mało namaszczony — powiedzmy wprost: — zupełnie nie poważny. Trudno. Nie mam żalu do pedantów, ale sam nim nie jestem. Myślę, że w sposób lekki można — i należy — poruszać najcięższe tematy. Nic na tem nie stracą. Powaga stylu z powagą tematu związana jest mechanicznie, a nie organicznie. Często licuje, niekiedy jest potrzebna — rzadko konieczna. Nie widzę żadnej racji, dla której, mówiąc o kryzysie, nie mógłbym sobie pozwolić na uśmiech, na groteskę”...

Owszem niech pan sobie pozwoli; ale nie wiadomo czy bezpiecznie jest rzeczy poważne tak traktować nawet w kawiarni, siedząc w czwórkę z facetami.

A czy na zebranie przedwyborcze Partji Pracy, o którem się dowiadujemy z poważnego organu, przybyło także tylko czterech panów? Statystyk niewielką miałby robotę.

Serce dumą wzbiera na widok życia publicznego w Polsce, z jaką powagą osiąga ono szczyty myślenia, wysiłku i odpowiedzialności!

Za ten stan rzeczy należy się sanacji wdzięczność ze strony społeczeństwa.

ZMARLI

Ś. P. STEFAN OLSZEWSKI

W DNIU 2 września po ciężkiej chorobie zmarł ś. p. Stefan Olszewski, redaktor naczelny „Warszawskiego Dziennika Narodowego”, a poprzednio (do 12-go maja) „Gazety Warszawskiej”.

Bardzo ciężki to cios dla najbliższych w rodzinie, dla rodziny ideowej, wśród której pracował, dla przyjaciół, których miał wielu, dla społeczeństwa.

Ś. p. Stefan Olszewski, urodzony 15 stycznia 1890, liczył w chwili śmierci lat zaledwie 45, zmarł więc młodo, przedwcześnie, w pełni sił, po których wiele się można było spodziewać przy jego dobrej woli i zdolnościach.

Po osiedleniu się w Warszawie pracował w kadrach młodzieży katolickiej, której oddawał usługi, jako współredaktor „Prądu”. W r. 1906 widzimy go już wśród grona współpracowników „Gazety Warszawskiej”. Z dobrej więc pochodził szkoły dziennikarskiej i mógł się stać przez to jednym z tych, którzy potrafią łączyć zawód dziennikarski z uczciwą służbą ideową. Tutaj też rozszerzył swój widnokrąg polityczny na zagadnienia światowe i sposobił się na dobrego publicystę, a nawet człowieka zdatnego do służby dyplomatycznej. Pracując wiele nad sobą, doszedł do biegłej znajomości języków i literatur. Ulubionym jego autorem był Szekspir, znał dobrze jego literaturę i nieraz ze znawstwa swego w artykułach literackich się wykazał. Tłumaczył też dla zarobku sporo powieści z obcych języków.

W czasie wojny, pozostawszy w Warszawie, był współredaktorem „Gazety Porannej” (2 grosze), „Gazeta Warszawska” bowiem była zamknięta, brał przytem żywy udział w pracach organizacyjnych Koła Międzypartyjnego, którego był sekretarzem.

Po wojnie, już w końcu 1918 r., wstąpił do Ministerjum Spraw Zagranicznych, które go wysłało na urząd w poselstwie polskiem w Sofji. Pracując tam pożytecznie lat parę, zawiązał liczne stosunki ze społeczeństwem miejscowem i gruntownie zaznajomił się z życiem politycznem krajów bałkańskich i literaturą bułgarską.

Propagandzie literackiej ś. p. Olszewskiego zawdzięczamy, że pisarka bułgarska, p. Dora Penew, zainteresowała się twórczością Kasprowicza i, nauczywszy się języka polskiego, pięknie przełożyła jego hymny. Wydane zostały w Sofji 1924 r. z przedmową Z. Wasilewskiego.

Tęsknił jednak do kraju, chętnie też zgodził się w r. 1921 na propozycję powrotu, uczynioną mu przez „Gazetę Warszawską”.

W redakcji tego dziennika był sekretarzem do marca 1925 r., kiedy powołano go na stanowisko redaktora. Stanowisko to od r. 1926 stało się jednem z najcięższych w dziennikarstwie polskiem; nie było takiem nigdy przed tem od 150 lat istnienia „Gazety Warszawskiej”. Właśnie w r. 1925 „Gazeta” obchodziła 150-letni jubileusz, upamiętniony źródłową publikacją historyczną w postaci numeru, obejmującego cały tom.

„Gazeta Warszawska”, założona jeszcze za Polski niepodległej, łączyła pomostem dwa brzegi niewolnego jej bytu. Ś. p. Olszewski, dzielił z całym zespołem redakcyjnym poczucie, że w tym nowym okresie dziejów „Gazety” tem śmielej i wyżej podnieść należy sztandar idei narodowej. Bo któż ma być panem odbudowanego Państwa, jak nie naród polski.

Przeciwności na tym brzegu spotykane, głęboko sięgają w moralną istotę ludzi, służbie publicznej oddanych. Ś. p. Olszewski pracował z wiarą w lepszą przyszłość, nie tracą bowiem ducha ci, którzy oparcie mają moralne w duszy narodu świadomego swoich dziejów. Nie tracił nigdy fantazji i swego pogodnego usposobienia, cieszył się też sympatją przyjaciół. Śmierć Jego jest dla nich ciosem niespodzianym.

Okrytej ciężką żałobą Wdowie, pani Stefanji z Maliszewskich Olszewskiej i Córce Hannie redakcja „Myśli Narodowej” składa wyrazy głębokiego współczucia.

W.

Przypominamy, iż zbliża się kwartał IV i że trzeba odnowić przedpłatę na „MYŚL NARODOWĄ”.

Każdy tanim kosztem (3 zł. miesięcznie!) może stać się współwydawcą czasopisma wartościowego, niezbędnego jako uzupełnienie dzienników.

„MYŚL NARODOWA” — pamiętajmy o tem — nie jest pismem subsydjowanem i tylko na prenumeracie byt jej się opiera.

NAUKA i LITERATURA

MITYCZNY EUGENJUSZ

DOPIERO teraz przeczytałem nr. 6 (z czerwca r. b.) miesięcznika „Prąd", wychodzącego w Lublinie, a w nim artykuł polemiczny prof. St. Cywińskiego. Robi on wyrzuty prof. H. Życzyńskiemu, że w poprzednim zeszycie „Prądu" wyraził się z uznaniem o mojej książce o Norwidzie. W celu poparcia swej pretensji, przytacza rzekome błędy „naukowe" przezemnie popełnione. Z jaką animozją, prowadzącą do zaślepienia, te błędy są wyszukiwane! Przytoczę dla przykładu jeden z nich bardzo charakterystyczny. P. Cywiński pisze:

„W nr. 13 „Myśli Narodowej" zwracam uwagę, że autorem listu o Norwidzie „śpieszącym do chóru Derwida", był E. Genjusz, ojciec, nie zaś Mieczysław, syn, jak mylnie pisze Wasilewski na s. 176. Jednak on lekceważy mię aż tak bardzo, że nie przyszło mu na myśl zrobić to, coby uczynił przecież absolutnie każdy na jego miejscu, t. j. sprawdzić w „Chimerze" VIII na str. 422, 425. 433, 435, 452, 453, natomiast z wielką pewnością siebie potwierdza swój błąd, dodając ironicznie: inne przewagi uczoności tyleż są warte. Zgadzam się w zupełności co do joty: tyleż!"

W owym nr. 13 „Myśli Narodowej" p. Cywiński napisał o tem tylko tyle: „Badacz naukowy nie powie też... że ów Genjusz, który pisał o Norwidzie, miał na imię Mieczysław, bo tamten zwał się Eugenjusz". Teraz się dowiaduję, że ten Eugenjusz był ojcem Mieczysława i to on pisał listy do „Chimery" w r. 1904.

Musiałem „zlekceważyć" tę erudycję p. Cywińskiego, bo 1) wiedziałem z życiorysu M. Genjusza, że ojciec jego umarł, kiedy Mieczysław był dzieckiem, wnet po przybyciu na emigrację i że opiekował się nim potem ojczym; 2) wiedziałem, że „Chimera" powstała dopiero w tem stuleciu; 3) znałem pewniejsze źródła informacyjne o korespondencji Genjusza, niż owa litera E. w „Chimerze". I p. Cywiński powinien był je znać, bo je w bibljografji wymienia. Pokazuje się jednak, że naukowość leży nie w proporcji do rozmiarów bibljografji, raczej polega na dobrem czytaniu tego, co się bibljograficznie przytacza.

W bibljografji, którą prof. Cywiński dodał do studjum swojego o Norwidzie, poprzedzającego wybór pism poety (w Bibl. Narodowej) istnieje pozycja taka: „T. Smoleński „Egipskie Norwidjana". „Ateneum Polskie" Lwów 1908, o C. N. s. 129 — 135". Wydawnictwa tego p. Cywiński nie miał widocznie w ręku, bo gdyby miał, podałby właściwą paginację; praca Smoleńskiego zajmuje 10 stron, od 105 do 115. Gdyby ją miał w ręku, toby wynotował ze str. 106 informację następującą:

„Pan Mieczysław Genjusz w Port-Saidzie miał za młodych lat paryskich szczęście poznania Norwida i przeżycia z nim wielu godzin; prócz cennych wspomnień przechowuje garstkę rękopisów i pamiątek, których część przesłał był w r. 1904 Miriamowi do zużytkowania — mianowicie: 28 szkiców ołówkiem, 10 szkiców piórkiem, akwafortę Fidjasz i Rembrandt, listy i rękopisy. Jednakowoż pozostało jeszcze nieco pamiątek, które szanowny właściciel pozwolił mi drukiem ogłosić".

Do tych słów Smoleński dodał na dole przypisek:

„W księdze „Pamięci Norwida" [Chimera] znajdujemy na str. 422, 425 i 435 wspomniane z wdzięcznością nazwisko p. Genjusza. Mylnie położono przy niem literę E. Pochodzi ta omyłka z francuskiego *Etienne*, którem w Paryżu tłumaczył p. G. chrzestne swe imię, nieużywane zresztą: Szczepan".

Otóż ja te rzeczy znałem. Dlatego z taką „pewnością siebie" trwałem przy swojem, ale bynajmniej nie przez lekceważenie p. Cywińskiego. Wiedziałem, że w „Chimerze" popełniono niedokładność[1]) i dlatego nie była ona dla mnie źródłem. Tadeuszowi Smoleńskiemu można ufać, pozostawał bowiem w najbliższych stosunkach z Mieczysławem Genjuszem, który się nim, jak ojciec, opiekował. Smoleński studjował w Egipcie egiptologję i świetnie się zapowiadał jako uczony. Zmarł przedwcześnie na suchoty. Mieszkał w El-Gamhud i stale się komunikował z Genjuszem, mieszkającym w Port-Saidzie.

Skąd się wziął p. Cywińskiemu ten pleonazm: Eugenjusz Genjusz — nie wiadomo — dokumentu nie przytoczył. Gdybym nawet nie znał świadectwa Smoleńskiego, nie mógłbym w żadnym razie przypisać listów, pisanych do Miriama w r. 1904, ojcu Mieczysława, bo ten zmarł wkrótce po przybyciu z rodziną do Paryża po r. 1864. Mieczysław w czasie powstania miał lat 10, z Norwidem zbliżył się koło r. 1879, jako młodzieniec 26-letni (zmarł w Warszawie w listopadzie 1920 r. w wieku 67 lat).

Nie przekonał mnie prof. Cywiński, nawet gdy listownie był łaskaw tę rzecz mi wyjaśniać (9.IV.1935). Pisał tak między innemi:

„M. Genjusz — to syn, E. Genjusz — to ojciec, który znał C. N. na lat 20! przed jego śmiercią t. j. +— od r. 1863. Teraz może Pan przyzna, że wszystkie moje uwagi mają tę samą wartość. Przyznam się jak do tego przyszedłem: Sporządzając w mej książce indeks nazwisk, wypisałem też Genjusz M. Ale (pozbawiony zmysłu krytycznego!) zacząłem kombinować: jakże to ów Mieczysław, z którym ja! byłem w przyjaznych stosunkach, mógł od tak dawna być z C. N. w dobrych stosunkach? — no i sięgnąłem do źródła! (Chimera VIII, 425). No, i kto z nas dwu ma względem siebie! (to rzecz najważniejsza!) więcej krytycyzmu?"

Każdy z nas zaglądał do „Chimery", ale przecież listy Genjusza dotyczyły czasów (1879 — 1883), meldunek Miriamowi złożony był 1904 r., nie trzeba więc sięgać do czasów powstania 1863 r. Zresztą Smoleński dokładnie tę rzecz wyjaśnił. Słusznie więc zarzucałem brak krytycyzmu i przedmiotowego i względem siebie. Z. W.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Zmarły obecnie Cezary Jellenta wszedł do literatury polskiej w r. 1884 przez „Prawdę", jako jedna z pierwszych forpoczt tych fal, które już w pierwszem pokoleniu po równouprawnieniu żydów, zaczęły zalewać nasze dziennikarstwo i literaturę. Był specyficznym tworem warszawskim z czasów, gdy żydostwo zalecało literata redakcjom postępowym, bo było gwarancją „postępowości"; nikomu tak nie wierzono, co jest postępem, jak żydom.

Nie miał fizjognomji politycznej: mógł być socjalistą, ale wolał być liberałem wogóle. Niepewnego też był wyznania, nawet imienia; do nazwiska rodowego przybrał imię Napoleon. Kiedy w adwokaturze nie bardzo się powiodło, uznał za swoje nazwisko pseudonim „Cezary Jellenta" i oddał się całkowicie literaturze.

Lubił wielkie imiona i wielkie idee wszechludzkie. Byron, Dante, Słowacki, Norwid — *magni nominis umbra* — stanowili sferę jego zainteresowań. Uchodził za arbitra w rzeczach piękna i smaku.

Wydał: Studja i szkice filozoficzne (1890), Ideał wszechludzki w poezji spółczesnej, Forpoczty, Dante, Druid Jul. Słowacki, Grający szczyt, Józef Piłsudski (1929), Dostojny profesor na zamku królewskim (prof. Mościcki) i rzecz ostatnia o Otwocku (reklama). Pozatem kilka dramatów, siedem tomów nowel, powieści, wydawcą był kilku czasopism krótkotrwałych (Ateneum, Rydwan, Biały paw). Z zamiłowaniem wygłaszał odczyty. Wymowny był i entuzjastyczny, zawsze kroczący na przedzie rzeczy najmodniejszych. W ostatnich latach schodził w cień i zmarł osamotniony.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Notowaliśmy wielokrotnie w miarę ukazywania się poszczególnych prac z zakresu dziejów Torunia, wydane

---

[1]) W „Chimerze" było wiele błędów, choćby data śmierci Norwida: 28 maja, gdy umarł 23 maja.

staraniem Instytutu Bałtyckiego. Obecnie wyszła już w całości monografja pt.: „Dzieje Torunia". Praca zbiorowa z okazji 700-lecia miasta pod redakcją Kazimierza Tymienieckiego, Toruń 1933 str. IX + 617. Osobno album: Toruń dawny i dzisiejszy, str. XVIII + 128 ilustracyj, opracował Gwido Chmarzyński.

Na treść dzieła złożyły się prace: R. Galon: Krajobraz geograficzny Torunia. — Ks. Wł. Łęga: Toruń i okolica w czasach przedhistorycznych. — K. Górski: Historja politycznaTorunia do r. 1793. — L. Koczy: Dzieje wewnętrzne Torunia do r. 1793. — J. Staszewski: Dzieje wojenne Torunia od r. 1794 do 1815. — Ks. A. Mańkowski: Zarys dziejów Torunia po r. 1815. — Ks. T. Glemma: Dzieje stosunków kościelnych w Toruniu. — St. Tync: Szkolnictwo Torunia w ciągu jego dziejów. — Z. Mocarski: Książka w Toruniu do r. 1793. Zarys dziejów. — G. Chmarzyński: Sztuka w Toruniu. Zarys dziejów. — M. Gumowski: Herb i pieczęcie m. Torunia.—Tenże: Mennica toruńska.

Jest to pierwsze polskie syntetyczne ujęcie przeszłości jednego z najważniejszych miast pomorskich. Toruń, będący punktem wyjścia politycznej i kulturalnej ekspansji Zakonu, przedstawia dla historyka niezmiernie ciekawy objekt badań, ze względu na ścieranie się w nim dwóch kierunków politycznych: Rzeczypospolitej i Zakonu, dwóch elementów: słowiańskiego i germańskiego, wreszcie dwóch światopoglądów religijnych: katolicyzmu i protestantyzmu. Dlatego każda prawie część dzieła, opracowana przez specjalistę, budzi najwyższy interes, boć poza faktami, typowemi dla całego szeregu innych większych miast, przewija się jak barwna nić, walka o przewodnictwo dwóch duchowo różnych elementów, choć obydwa przynależą do tej samej zachodnio-europejskiej prowincji kulturalnej.

Usterki, nieuniknione w pracy zbiorowej o tak szerokiej skali wykonania, giną wobec ogromu faktów, wydobytych w sposób ściśle naukowy. Dodatnim objawem jest brak powtarzań tych samych kwestyj przez różnych autorów.

Pozostanie wielką zasługą komitetu redakcyjnego, że za najwłaściwszy sposób uczczenia 700-lecia tej północnej strażnicy polskiej myśli politycznej i polskiego stanu posiadania, uznał wydanie zbioru prac o tematach mało lub prawie wcale nieuwzględnionych w literaturze miasta, a przecież dających w sumie wyraźny obraz jego przeszłości.

TEATR

„URODZINY" — W TEATRZE POLSKIM

TEATR POLSKI wystawił sześciodsłonową sztukę p. Bus Feketego p. t. „Urodziny", przełożoną z języka węgierskiego przez p. J. Kapelę i J. Karbowskiego. Autor nazwał swój utwór „życiorysem scenicznym w sześciu rozdziałach". Uczynił bardzo słusznie. Są to bowiem istotnie raczej rozdziały udjalogowanej opowiastki, aniżeli akty dramatyczne. Opowiastki, nawiasem mówiąc, dosyć nudnawej, o wiele za długo trwającej i zgoła niezasługującej na cierpliwe wysłuchanie do samego końca. Treść owej opowiastki stanowią niemiłosiernie banalne przygody erotyczne aptekarskiego synalka z Budapesztu. Młodzieniec ów w pierwszej odsłonie, która się rozgrywa w roku Pańskim 1884, kończy właśnie piętnasty rok życia. Nie mogąca sypiać po nocach babunia, drepcząc według swego zwyczaju po całem mieszkaniu, przyłapała chłopaczka (na imię mu Sandor) w łóżku francuskiej guwernantki. W dziesięć lat później, w odsłonie drugiej, dwudziestopięcioletni Sandor, zadłużony bywalec tinglów budapeszteńskich, znowu w dniu swoich urodzin porywa narzeczoną swojego kuzyna. W trzeciej odsłonie Sandor ma lat trzydzieści pięć. (Rok 1904). Swoim hulaszczym trybem życia zraził do siebie żonę, która od niego uciekła na wieś do rodziców. Przybywa po nią z orkiestrą cyganów. Wyprawia coś w rodzaju serenady i odzyskuje jej serce. Zaledwie zdobył przebaczenie żony, rozpoczyna flirt z kilkunastoletnim podlotkiem — kuzyneczką pani Sandorowej. W odsłonie następnej widzimy Sandora w mundurze wojskowym. Liczy sobie lat czterdzieści pięć. Postanowił wybrać się na wojnę, jako ochotnik, żeby wyrwać się od żony, która go znudziła i od kochanki, która mu się również przejadła. W roku 1924 Sandor zdążył wyłysieć. Zmęczony kobietami tęskni za moralnością. Uskarża się na zepsucie obyczajów powojennych. Wreszcie w odsłonie ostatniej widzimy Sandora sześćdziesięciopięcioletniego. Odmłodniał duchowo. Stara się (bez powodzenia) zdobyć względy francuskiej guwernantki swego wnuka.

Sztuka ta mogłaby się ciągnąć jeszcze dalej. Pan Bus Feteky mógłby, gdyby chciał, pokazać nam jeszcze Sandora siedemdziesięciopięcio, osiemdziesięciopięcio, dziewięćdziesięciopięcio i stupięcioletniego. Urwał na sześćdziesięciopięcioletnich urodzinach. Ograniczył się. Nie żywimy o to do niego oczywiście najmniejszej pretensji.

Rola Sandora skusiła Józefa Węgrzyna.

Znakomity artysta, którego zazwyczaj oklaskujemy w rolach bohaterskich, majestatycznych, poetyckich, patetycznych rozzuł się tym razem z koturnów i przekonał nas, że jeżeli zechce, potrafi nietylko zdobyć się na łobuzerski humor, ale w dodatku zadziwiać galerję talentem transformisty. W szeregu długim ról epizodycznych ciekawsze postacie odtworzyli pp. Małkowski (stary wiarus węgierski z czasów Petöfiego), Dominiak (szlagon z puszty, przejadający i przepijający z fantazją majątek), Dulębina (teściowa Sandora, kapitalny typ zapasionej i shisteryzowanej prowincjonalnej damy), Tatarkiewicz-Woskowska, Lubieńska, Socha, Sulima, Macherska, Wasiutyńska i Kawińska.

Reżyserja pana Borowskiego bardzo staranna.

Przekład gładki.

Dekoracje dobre. S. J. G.

FILM

FILHARMONJA: „Dzień Wielkiej Przygody" reż. Józef Lejtes.

Do tego filmu scenarjusz opracował F. Goetel, a kierownictwo literackie, przy pracy nad nim, powierzono Wacławowi Sieroszewskiemu. Wsparty na filarach tych dwu nazwisk, wyreżyserowany przez jednego z najlepszych i podobno najinteligentniejszych naszych filmowców, film jednak nie udał się. Nie szukając zbyt skomplikowanych określeń, można go poprostu scharakteryzować jednem słowem: jest nudny.

Odrzucenie starych rekwizytów filmowych to jeszcze nie wszystko; posłużono się tym razem szlachetnem tworzywem, nie dając jednak z dobrego materjału zwartej, logicznie skomponowanej pod względem literackim i plastycznym całości. Jak taśma filmowa ze szpuli, tak się powinien rozwijać wątek treści, płynąc nieprzerwanym ciągiem. W „Wielkiej Przygodzie" ten wątek rwie się co chwila, jest zbyt nikły, nie starcza go. Pełno tu dłużyzn, miejsc martwych i, mimo pięknych pojedyńczych zdjęć, plastycznej monotonji. Szereg prześlicznych i trudnych może technicznie zdjęć widoków górskich wystarcza jako temat w krótkometrażówce, ale nie w filmie pełnoprogramowym. Nie widzimy tu żadnej myśli, którąby kierowała biegiem obrazów, reżyser nie miał żadnej wizji i szedł raczej od fragmentu do fragmentu.

„Dzień Wielkiej Przygody" ukazuje nam drużynę harcerską w czasie jej pobytu w górach. Z rzeźkością zimowej atmosfery i prostotą życia obozowego niemile kontrastuje sztuczna recytacja skandowanych na raty djalogów. Niemiłe także wrażenie wywiera ta rozmyślna programowość w szukaniu przygód i spełnianiu dobrych uczynków.

W górach pokazano jednego górala, poto tylko, żeby zrobić z niego przemytnika i kłusownika. Wprawdzie potem się spostrzeżono i dalejże górala wybielać, ale w tak naciągany sposób, że góral przestaje być przestępcą, poto żeby stać się... idjotą. Nie od rzeczy będzie dodać, że na tak swoiście pojętą propagandę gór rząd dał pieniądze, gdyż film został subwencjonowany. Gdy w jednym z naszych zeszłorocznych filmów pokazano sierżanta, który flirtował z kucharką, podoficerowie protestowali. Tu już powody do protestu (ze strony górali) są daleko poważniejsze.

KANDYD

POKŁOSIE

NA OSTATNIEJ PLACÓWCE

CZŁOWIEK przywiązany do dawnych, „klasycznych" metod gospodarki i wymiany międzynarodowej ma dziś niejedno zmartwienie. Jedno państwo za drugiem wyrzeka się tych metod i przechodzi do obozu cyników, drwiących sobie z niewzruszonych rzekomo praw, ba nawet z zasad rzetelności kupieckiej. Rosja sowiecka odgrodziła się od reszty świata nieprzebytym murem granicznym i gospodaruje w całkiem swoisty sposób; to jednak jest państwo przechodzące rewolucję i nie może być brane pod uwagę jako norma. Ale co powiedzieć o takich do szpiku kości kupieckich społecznościach, jak angielska i amerykańska, które jednak, gdy im się to wydało korzystne, zaczęły bez żenady żonglować nienaruszalną zdawałoby się w kupieckich umysłach wartością pieniądza, złota i t. p. Wielkie państwo, położone w centrum Europy, Niemcy, postanowiło, że wogóle płacić nie będzie i wykonywuje to postanowienie z całkowitą konsekwencją, wynajdując przytem nieraz bardzo pomysłowe środki techniczne do osiągnięcia tego celu. Niebawem jednak poszły za niem i inne potęgi, przynajmniej o ile chodzi o niektóre zobowiązania państwowe i przestały spłacać swe pożyczki.

O państwach drobniejszych, zwłaszcza słabszych finansowo, niema co i mówić; nie wiadomo, czy z wyjątkiem Szwajcarji znajdzie się jeszcze jedno, w którem nie zastosowanoby tego lub owego sposobu ograniczenia odpływu środków pieniężnych zagranicę. Ale oto nadchodzi wiadomość od jednego z potentatów, mianowicie z Francji, że niebawem ma się tam ukazać dekret, ograniczający sumy gotówki, czy dewiz, jakie Francuz, udający się zagranicę, będzie miał prawo wziąć ze sobą, Poza odmową płacenia wojennych długów Ameryce, odmową, na której usprawiedliwienie wysuwa się jednak ważkie powody natury raczej politycznej, niż ekonomicznej, — ten krok rządu francuskiego jest bodaj pierwszym, ograniczającym tak ostro wolność obywatela w rozporządzaniu swem dobrem.

Często się u nas słyszy dość dumnie wypowiadane pochwały samym sobie, że utrzymujemy walutę naszą na poziomie złotym bez uciekania się do ograniczeń dewizowych. Nie jest to całkiem słuszne, gdyż nie ograniczając ruchu dewiz, wydaliśmy jednak szereg zarządzeń, wychodzących na to samo, jak np. wysokie, prohibicyjne opłaty za paszporty zagraniczne, lub umowy kompensacyjne, mające nawet nieco upokarzający odcień, jak owe wymiany turystów polskich wzamian za eksportowane świnki. W rezultacie naszych zarządzeń wolny obywatel polski rzadko kiedy ma możność odbycia podróży zagranicę na własną rękę. Najczęściej jeździ teraz gromadnie, karawanami, pod opieką przewodników z biur turystycznych, mając w kieszeni zamiast gotówki przekazy kompensacyjne. Nie zamierzam krytykować słuszności, czy też celowości tych zarządzeń, pamiętając o tem, że w pierwszym roku ustanowienia naszej waluty złotej wydano 300 tysięcy paszportów zagranicznych, tak że licząc nawet skromny tysiąc złotych na każdego turystę, wywieźliśmy zagranicę sumy, które mogły poważnie nadwerężyć naszą ekonomję, tembardziej, że było to bezpośrednio po wojnie, a ta nas przecież nie zbogaciła. Jesteśmy narodem lubiącym podróżować i mało jest wśród nas filozofów, którzy wraz z Pascalem powtarzają, że „wszelkie nieszczęścia ludzkie pochodzą z jednej przyczyny: nieumiejętności siedzenia spokojnie u siebie w domu". To też te ograniczenia paszportowe dotkliwie są przez wielu z nas odczuwane, jako skrępowanie cennej wolności osobistej.

Zatkaliśmy w ten sposób, albo przynajmniej znacznie ograniczyliśmy, przelot jednego z kanałów, jakiemi odpływało nasze złoto zagranicę. Pozatem głosimy z dumą, że nic u siebie nie zatrzymujemy z tego, co chce wyjechać. Czy długo tak będziemy mogli trwać na tej placówce, która jeżeli się już nie stała, to niebawem stanie się ostatnią placówką w Europie? Inni, znacznie nieraz od nas zasobniejsi zrezygnowali z tego honoru i trudno nawet powiedzieć, żeby to nasze trwanie przysparzało nam dobrej opinji finansowej. Gdy się mówi lub pisze o państwach t. zw. bloku złotego, to najczęściej o Polsce się nie wspomina, a doświadczenia jakie robimy z pożyczkami zagranicznemi też bynajmniej nie świadczą o wielkiem zaufaniu do nas, mimo że płacimy i nic nie zatrzymujemy z tego, co się komu od nas należy. W dzisiejszych warunkach wygląda to jednak trochę na donkiszoterję.

Zasada, że pieniądze u nas zarobione powinny być, przynajmniej w znacznej części, u nas skonsumowane, wydaje się słuszna i wątpliwe jest czy będziemy mogli długo ją ignorować bez sprowadzenia beznadziejnej anemji na nasz organizm. Przecież trzeba sobie uświadomić że ciekniemy jak pęknięty garnek i co tu mówić o kapitalizacji, dopóki złoto wielkiemi szczelinami od nas odpływa.

Rozgoryczony mającą nastąpić obiżką płac urzędniczych organ stowarzyszeń pracowników umysłowych woła o zatkanie tych dziur i ma dużo racji. Obniżką płac i corocznemi dobrowolnemi pożyczkami daleko nie zajedziemy i należałoby dobrze obliczyć co jest korzystniejsze: całkowity liberalizm, czy też rozsądne ograniczenia, do jakich przykład innych daje nam prawo. ARGUS

NA MARGINESIE

Przyjemnie jest czytać artykuły Cata w „Słowie", bo ani się zająknie, ani okiem mrugnie, tak gładko buja. W ostatnim numerze tak kończy artykuł wstępny:

... „W środowiskach urzędniczych hasło człowieka niezależnego będzie w obecnych wyborach odgrywało nie mniejszą rolę, niż w środowiskach innych".

Ale jak będzie w „innych", tego nie powie.

*

Publicysta sanacyjny potrafi przed wyborami trafić do serca „dobrego Polaka":

„W przyszłym Sejmie partyj nie będzie, frakcyj nie będzie. Będą tylko ludzie, mający własne zdanie, i ci ludzie będą mieli, jako Sejm, swój wpływ na losy Polski przez całe 5 lat. Czyż może być Polakowi nieobojętnemu na sprawy Ojczyzny, mającemu w sprawach publicznych przekonania, wszystko jedno, kto będą ci ludzie?"

(„Słowo", nr. 238).

Nie piśnie ani słówkiem, że „ci ludzie" są już zgóry wyznaczeni przez delegatów zpośród jednej tylko partji. Czy będą ci dwaj, czy inni dwaj, to już „dobremu Polakowi" doprawdy „wszystko jedno".

*

Sanacyjne czasopismo literackie „Pion" w ostatnim zeszycie na papierze welinowym drukuje „Modlitwę pod flagami":

kamienica świątecznych nareszcie materac
ile pięter tyle brzęczy sprężyn
najlepsza pasta do zębów godzina życzeń oremus bracia oremus
słońce słodko ciepłej mazi miodem manną płomienistą
ociekają flagi i t. d.

Dosłownie. Żadnych znaków pisarskich... Można i tak Flagi to rzecz bardzo uroczysta, ale dla czego mają powodować utratę zmysłów?

Może to maligna z gorączki przedwyborczej? A może od stania w pionie na baczność tak słabo się robi poetom?

Radzibyśmy wiedzieć, jak to rozumie Akademja Literatury, której „Pion" jest organem.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.